



Cindy Gerard

Do utraty tchu



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jeśli jeszcze raz powtórzysz, że jestem milutka, przysięgam, że porachuję ci wszystkie kostki w nodze.

Ryan Evans uniósł brew i spojrzał ciekawie na Carrie Whelan, która siedziała naprzeciw niego przy stoliku w barze. Tak, na jej twarzy dostrzegł determinację, oczy zaś miały ogniki podobne do tych, które pląsały na jej długich, jedwabistych rudych włosach.

Faktycznie, nie powinien się jej za bardzo podkładać. Kiedy miała czternaście lat, rzeczywiście była milutkim dziewczęciem. Ale trudno się dziwić, że ta dwudziestoczteroletnia dziś kobieta jeży się, słysząc, że jest milutka, obojętne, kto by to mówił.

Przemyślawszy to, Ryan wyprostował się w krzesło, wziął głęboki oddech i na wszelki wypadek cofnął głębiej nogi, aby rozzłoszczona panna Whelan nie miała okazji wbić mu w podbicie cieniutkiej, dziesięciocentymetrowej szpilki swoich markowych wysokich butów.

Jeszcze nie tak dawno temu mała Carrie Whelan - ta milutka Carrie, młodsza siostra jego najlepszego przyjaciela, Trávisa Whelana - oznajmiła wszem i wo-

bec, że zamierza w przyszłości być kowbojem i że prędzej umrze niż pozwoli, żeby ktokolwiek zobaczył ją w innym stroju niż w dżinsach, kowbojskim kapeluszu i butach do konnej jazdy.

Cóż, Ryan mógł w tej chwili zaświadczyć, że Carrie bynajmniej nie umarła i, przeciwnie, jest dziś jak nigdy pełna życia, chociaż już kilka lat temu sprane prawie do białości dżinsy zastąpiła jedwabiem, a znożone buciory - włoskimi bucikami z mięciutkiej skórki. Dziś nosiła też inne niż dawniej kapelusze. Różne. Miała ich wiele. Dzięki funduszowi powierniczemu, który Trav dla niej ustanowił, nie musiała w ogóle pracować. Ale ta ulubienica śmietanki towarzyskiej w teksańskim miasteczku Royal wciąż była czymś zajęta. Wyżywała się w wolontariacie - udzielała się w miejscowym szpitalu na oddziale oparzeń, w miejskiej bibliotece i w żłobku, a także organizowała zbiórki pieniędzy na różne szlachetne cele. Carrie zawsze lubiła pomagać ludziom.

No i z całą pewnością życie aż w niej kipi - pomyślał znowu Ryan, zerkając ukradkiem na jej pełne, jędrne piersi rysujące się pod kremową jedwabną bluzką. Ukradkiem, ponieważ absolutnie nie powinien był tego zauważyć. W ogóle nie powinien myśleć o Carrie jako o kobiecie, i to na dodatek tak seksownej i pociągającej.

Naciągając głębiej na oczy kapelusz Ry uświadomił sobie, że przynajmniej pod jednym względem Carrie

ma rację. Nie jest już milutką podfruwajką, ale w pełni rozwiniętą, piękną kobietą, wysoką, smukłą i gibką, o figurze modelki, o niezwykłych, orzechowych oczach i kuszących, pełnych ustach. Ciekawe, jak by te usta całowały? Ale przecież nie wolno mu o tym nawet myśleć - zreflektował się Ryan i zmusił do tego, by zwrócić się do niej tak, jak przystało przyszywanemu bratu.

- Co cię napadło, misiaczkę? Jesteś zła jak osa.
Carrie rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Jesteś jeszcze gorszy niż mój brat - prychnęła, podnosząc do ust filiżankę kawy z bitą śmietaną. - Zaden z was nie traktuje mnie poważnie.

Ry oparł się wygodniej w krzesło, z trudem opowiadając chęć wyznania jej, jak bardzo poważnie ją traktuje.

- A co porabia ostatnio Trav? - zapytał, zmieniając temat rozmowy.

- To co zawsze - burknęła Carrie. - Traktuje mnie jak małe dziecko.

- On ciebie kocha - powiedział cicho Ry. Słyszając te słowa Carrie rozluźniła się i zwróciła na niego zielonkawie, łagodniejsze już, lekko przy-
mglone oczy.

- Słuchaj, co my tu właściwie robimy? - zapytała, potrząsając głową. - My, czyli ty i ja. Przecież, na litość boską, jest sobotni wieczór. Dlaczego każde z nas nie jest teraz w jakimś fajnym lokalu w mieście, ty z jakąś

wystrzałową dziewczyną, a ja z interesującym facetem, i nie popija szampana czy, jak w twoim przypadku, dobrego piwka i nie cieszy się na nadchodzącą noc, pełną namiętności i sek...

- Przestań natychmiast - rzucił ostro Ryan uderzając dłonią w stół. - Ani mi się śni rozmawiać z tobą o moim życiu miłosnym.

- Rozumiem, że o moim też nie chcesz rozmawiać.

To prawda, pomyślał ze smutkiem. Jej życie miłosne w ogóle go nie powinno obchodzić. Jego zadaniem było pilnować, żeby Carrie włos nie spadł z głowy, teraz, kiedy narzeczonej Trávisa, Natalie Perez, wciąż groziło niebezpieczeństwo. Zgodził się być jej aniołem stróżem na prośbę Trávisa. Idiotyczny pomysł. Ale przecież nie mógł mu odmówić. Nie miał innego wyjścia.

- Nie chcę. Bo gdybym się dowiedział, że istnieje coś takiego, jak twoje życie miłosne, musiałbym poinformować o tym twojego brata, a on zapewne w pierwszym odruchu zabiłby posłańca, czyli mnie, zanim wyjaśniłby z tobą, co jest na rzeczy. I niechaj Bóg ma w swojej opiece faceta, który spróbowałby jakichś numerów z ukochaną siostrzyczką Trávisa Whelana.

Carrie potrząsnęła głową, zaśmiała się nieszczerze i unikając jego wzroku, oznajmiła:

- Możesz odetchnąć spokojnie. Nie sądzę, żeby Travis miał wkrótce kogokolwiek zabić. A chcesz wiedzieć dlaczego? Otóż dlatego, że ja w ogóle nie mam

żadnego życia miłosnego. Pewnie z tego powodu właśnie jestem zła jak osa.

Ryan poczuł, jak pod kapeluszem potoczyła mu się po czole kropelka potu. Tak, ta rozmowa zdecydowanie wiedzie w złym kierunku.

- O tym też nie chcę niczego wiedzieć - wycedził. Carrie spojrzała mu w oczy tak błagalnie, że musiał wytrzymać jej wzrok.

- Czy masz pojęcie... czy ty w ogóle możesz mieć blade pojęcie, jakie to uczucie, kiedy w wieku dwudziestu czterech lat jest się jeszcze dziewicą? - wykrzyknęła.

Dziewicą? O mój Boże. Cóż on jej może na to odpowiedzieć?

- Carrie, misiaczku, ścisź trochę głos, chyba nie chcesz, żeby usłyszeli cię wszyscy faceci w tym mieście. A poza tym jesteś przecież przyzwoitą, dobrze wychowaną panienką i...

- Aha! - zawołała Carrie jeszcze głośniej i oskarżycielskim gestem wysunęła w jego stronę wskazujący palec. - Widzisz? Właśnie w tym sęk. Może ja nie jestem przyzwoitą panienką. Może jestem rozpaloną do czerwieni, uwodzicielską kapłanką seksu, która potrafi doprowadzić do szaleństwa każdego faceta, który...

- Nie! - przerwał jej ostro Ry, zatykając uszy. - Nie i nie! Przestań! Nie mam zamiaru tego słuchać. Chciałaś się ze mną umówić na kawę i trochę pogadać,

więc jestem. Ale do głowy mi nie przyszło, że będziemy rozmawiać o twoim dziewictwie.

- O co ci chodzi, Ry? Czemu się tak irytujesz? Może sam jesteś napalony?

- Jestem tak napalony, że za chwilę położę cię na kolanie i stłukę ci siedzenie na kwaśne jabłko.

Carrie zmrużyła oczy, uśmiechnęła się wyzywająco i koniuszkiem języka prowokacyjnie dotknęła górnej wargi.

- No, mój kochany, to brzmi nawet dość... perwersyjnie.

- Carrie, ostrzegam cię. Jeśli natychmiast nie przestaniesz...

- To co? Wszystko wyśpiewasz mojemu bracisz-kowi? A może zabierzesz mnie do domu i przywiążesz do łóżka? Przyznam, że to intrygujący pomysł... Myślę, że byłoby mi do twarzy w jedwabnych czerwonych wstążkach, co ty na to?

- Przestań, proszę cię - warknął zdesperowany Ryan. - Wstawaj. Wychodzimy stąd. Koniec zabawy.

- Wychodzimy? Mowy nie ma - powiedziała stanowczo Carrie, utkwiwszy wzrok w przeciwległym rogu sali. - Ty możesz sobie iść, ale ja się stąd nie ruszę - oznajmiła, wyjmując z torebki puderniczkę i błyszczak. - Zamierzam poznać faceta, który siedzi przy tamtym stoliku. Zdaje mi się, że on tu niedawno przyjechał. Może zobaczy we mnie kogoś więcej niż tylko małą siostrzyczkę Tralisa Whelana i nie weźmie natychmiast

nóg za pas. Może okaże choć trochę męskości. - Mówiąc to otworzyła puderniczkę i nałożyła na wargi jaskrawoczerwony błyszczący.

Ry rozpoznał mężczyznę, o którym mówiła. Wprawdzie jeszcze nie spotkał go osobiście, ale widywał go już w miasteczku i słyszał, że to nowy lekarz, dr Nathan Beldon, którego zatrudnił miejscowy szpital. Właśnie z jego powodu Travis prosił Ryana, by miał oko na Carrie.

- Nie potrafię tego sprecyzować - powiedział mu Travis, kiedy się do niego zwrócił z tą prośbą - ale coś mi się w tym gościu nie podoba... na mój gust jest za nadto gładki i lizusowaty. Ale wiem, że Carrie uparła się zawrzeć z nim znajomość, pojęcia nie mam dlaczego.

No cóż, pomyślał Ry ze smutkiem, tym razem obaj z Travem są tego samego zdania. Beldon faktycznie jest jakiś lizusowaty. I zupełnie nie pasuje do Carrie. Do tego stopnia, że kiedy postąpiła krok w jego stronę, Ry złapał ją za ramię i siłą posadził znów przy ich stoliku.

- Masz zamiar poderwać Beldona? - zapytał z niedowierzaniem, czując jednocześnie jakieś dziwne ukłucie zazdrości w okolicach serca.

Carrie najpierw próbowała mu się wyrwać, po chwili jednak uspokoiła się i posłała mu uśmiech, który nie był ani słodki, ani niewinny.

- O podrywaniu wprawdzie nie myślałam, zamie-

rzałam go tylko poznać - syknęła - ale dzięki za sugestię. To świetny pomysł. I jeśli mi się poszczęści, już jutro rano nie będę ostatnią dwudziestoczteroletnią dziewczicą w Teksasie.

- No, na dziś wystarczy - oznajmił Ryan w obawie, że sytuacja może mu się wymknąć spod kontroli. - Sama nie wiesz, co pleciesz. Więc teraz, zanim zdążysz narobić głupstw, wrócisz grzecznie do domu.

Zostawił na stoliku parę banknotów i hojny napiwek dla Sheili, ich kelnerki, po czym, ignorując okrzyki protestu Carrie, poprowadził ją do wyjścia. Po drodze zdjął z wieszaka jej czerwony kaszmirowy żakiet i zarzucił jej na ramiona.

Trzymając mocno za ramię Carrie, która usiłowała mu się wyrwać i głośno protestowała, doprowadził ją do jej samochodu i otworzył drzwiczki od strony kierowcy.

- Jedź prosto do domu! - polecił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Idź do diabła! - warknęła Carrie, rzucając mu jadowite spojrzenie.

Ry delikatnie, lecz stanowczo usadowił ją za kierownicą.

- Ruszaj. Ja na wszelki wypadek pojedę za tobą, bo przecież możesz pomylić drogę.

- Kretyn! - rzuciła z furią Carrie, zatrzaskując z całej siły drzwiczki.

- I uważaj, nie jedź za szybko, jak to masz w zwyczaju - dodał Ry, stukając w dach jej samochodu.

Carrie włączyła bieg i z piskiem opon ruszyła przed siebie.

Ry wydał głębokie westchnienie, zsunął z czoła kapelusz, podszedł do swojego czarnego samochodu terenowego i, zadowolony z siebie, siadł za kierownicą. Kiedy włączył się do ruchu, po samochodzie Carrie nie było ani śladu. Żeby ją dogonić, musiał nacisnąć gaz do deski.

Jutro będzie musiał pogadać z Travisem. Poradzi swojemu przyjacielowi, żeby znalazł kogoś odpowiedniejszego do pilnowania siostry. Najlepiej jakiegoś eunucha. On, Ry, zupełnie się do tej roli nie nadaje. Carrie działa na niego jak laska dynamitu z niebezpiecznie krótkim lontem. Stała się podniecającą, seksowną kobietą, już dawno przestała być jego małą siostrzyczką sprzed lat.

Niech to wszyscy diabli.

Przecież Carrie nie jest jego siostrą. To tylko jego rodzice przygarnęli ją i Trava, kiedy czternaście lat temu ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Ry wciąż miał przed oczyma obraz małej, dziesięcioletniej dziewczynki, smutnej i zagubionej, łkającej w jego ramionach. Nadal serce mu pękało na myśl o tym, jak bardzo cierpiała. Ale ostatnio coraz trudniej mu było widzieć w niej tę małą, nieutuloną w żalu, przybraną siostrzyczkę.

Inaczej sprawy się przedstawiały, kiedy ona miała dziesięć lat, a on osiemnaście, a jeszcze inaczej, kiedy

on miał dwadzieścia parę, a ona była rozkwitającą dopiero szesnastolatką, na zabój w nim zakochaną. Ry zdawał sobie sprawę z tego jej zauroczenia, ale potem nieczęsto się widywali, kiedy on wyjechał do college'u, a następnie przez pięć lat występował w objazdowym rodeo.

Teraz jednak sytuacja zupełnie się zmieniła. Choć bardzo się starał, nie potrafił myśleć o niej po bratersku. A Trav z pewnością zamordowałby go z zimną krwią, gdyby tylko nasunęło mu się podejrzenie, że Ry widzi w Carrie podniecającą kobietę, która kojarzy mu się ze scenami łóżkowymi, a nie niewinnego podlotka.

Kiedy dogonił ją na głównej ulicy miasteczka, pomachał jej ręką. Ona spostrzegła go we wstecznym lusterku i pogroziła mu palcem, i zaraz potem przeskoczyła skrzyżowanie na żółtym świetle. Ry musiał poczekać, aż światła się zmieniają, gdy tymczasem ona pędziła przed siebie jak szalona i zniknęła mu z oczu.

- Ta kobieta mnie kiedyś wykończy - jęknął, ale zaraz potem uśmiech zagościł na jego twarzy.

Te jedwabiste, płomiennorude włosy. Te pełne, kuszące usta. Kragłe, jędrne piersi. Szczupłe, długie nogi. Tak, Carrie każdego mężczyznę mogła przyprawić o zawrót głowy.

Kiedy podjechał pod jej dom, Carrie właśnie wysiadała i kierowała się do wejścia, kołysząc lekko biodrami i szeleszcząc kremowym jedwabiem.

Ry odprowadził ją wzrokiem, po czym ruszył w stronę Teksaskiego Klubu Ranczerów. Musiał się czegoś napić. Zamówi sobie dużego, mocnego drinka. A jutro pojedzie zobaczyć się z Travem, bratem Carrie. Carrie, która wciąż jest dziewicą. Wolał o tym nie myśleć. Nie myśleć o tym, jak by to było, gdyby to on był jej pierwszym. Gdyby się z nią kochał.

Bezsensowne gdybanie. Nad cnotą Carrie czuwał wciąż jej nadopiekuńczy braciszek, który uważał za pewne, że żaden śmiertelnik nie jest jej godzien. Od śmierci rodziców czuł się za nią odpowiedzialny i do dziś dnia nic się nie zmieniło. Po prostu nie potrafił odpuścić. Gdyby to od niego zależało, Carrie do końca życia zostałaby starą panną. Aż strach pomyśleć, jak wielka by to była strata! - pomyślał Ry, jadąc do klubu.

No dobrze. Jutro przestanie o niej myśleć w ten sposób. Ale dziś postawi sobie drinka i puści wodze fantazji. Tylko dziś. Nie wolno mu wyobrazać sobie Carrie roznegliżowanej. Musi raz na zawsze odsunąć od siebie erotyczne obrazy, w których ona mu się uparcie pojawia. A jutro rano wpadnie może na pomysł, jak wytłumaczyć Travowi, że absolutnie nie może już być aniołem stróżem jego siostry.

ROZDZIAŁ DRUGI

A może zabierzesz mnie do domu i przywiążesz do łóżka?

Dobry Boże, pomyślała Carrie wychodząc spod prysznic i owijając się w puchary, seledynowy ręcznik. Czy ona rzeczywiście tak się do niego odezwała? Ze wszystkich możliwych ludzi właśnie do niego?

Jęknęła i ukryła twarz w ręczniku. I gdyby tylko na tym poprzestała. Ale nie, musiała jeszcze dodać słowa, które zabrzmiały z pewnością jak zachęta. Przyznam, że to intrygujący pomysł... Miała nadzieję, że w jego oczach wywoła choćby iskierkę zainteresowania.

Ale nie, nie w oczach Ryana. On miałby być zainteresowany? Niał? Wolne żarty, parsknęła Carrie.

Może gdybym była jednym z jego ulubionych wierzchowców. Albo którymś z tych połyskujących chromem i czarnym lakierem samochodów terenowych z napędem na cztery koła, za którymi Ryan przepada. Ale z pewnością nie myślał o niej w kontekście spraw łóżkowych.

Wycierając ręcznikiem włosy, zerknęła z niechęcią na swoje odbicie w lustrze. „Są lekcje, których wyjątkowo trudno się nauczyć”, mruknęła pod nosem i po-

czuła, jak powoli opuszcza ją gniew i zamiast niego ogarnia melancholia. Tak, ta lekcja była wyjątkowo trudna.

Z westchnieniem wtarła w ciało nowy balsam, który pięknie pachniał szalwią i owocami cytrusowymi oraz czymś łagodnie zmysłowym i kobiecym. Prawdę powiedziawszy, to kupiła ten balsam z myślą o Ryanie. Ależ ze mnie idiotka, parsknęła znowu. Beznadziejna idiotka. Czy ja w ogóle potrafię coś zrobić, nie myśląc o nim, czy jemu się to będzie podobać? Ryan, Ryan, w kółko Ryan. Kretynka.

- No więc, co zamierzasz zrobić z tym fantem? - zapytała, patrząc w swoje odbicie w lustrze.

Ale nie umiała sobie na to odpowiedzieć. Kochała Ryana od zawsze. Ubóstwiała go, a on widział w niej tylko swoją młodszą siostrzyczkę. I po dzisiejszym spotkaniu, kiedy w ogóle nie zareagował na jej aż nadto wyraźne aluzje, musiała powiedzieć sobie jasno i bez ogródek, że z pewnością tak już będzie zawsze. Więc może czas się poddać - pomyślała z rezygnacją. Tak, chyba czas najwyższy.

Wyjęła z szafy i włożyła pachnącą czystością i lawendą liliową nocną koszulę i szcnotkując włosy, przeszła do saloniku. Opadła na kanapę, włączyła pilotem telewizję i zarzuciła na kolana mięciutki, kremowy mohеровy szal. Było jej pod nim miło i ciepło, ale byłoby nieskończenie lepiej, gdyby mogła przytulić się do Ryana.

Przestań wreszcie, zreflektowała się. Nie rób sobie

złudzeń. Ry nigdy cię nie przytuli. Więc raz na zawsze daj sobie z nim spokój. Zmień temat.

Zacząła więc myśleć o swojej pracy na oddziale oparzeń w szpitalu, o dzieciakach w przedszkolu, w którym także pomagała jako wolontariuszka. O wszystkim, byle nie o Ryaniu. Jedną ręką przerzucała kanały, a drugą usiłowała poprawić niesforny rudy kosmyk, który zawsze opadał jej na czoło.

Same bzdury, westchnęła z żalem, kiedy nie udało jej się znaleźć w telewizji niczego, co by przykuło jej uwagę i odwróciło myśli od Ryana. Telewizja coraz bardziej schodzi na psy. Szkoda na nią czasu.

Zła na samą siebie, wyłączyła telewizor i, nie bez wahania, sięgnęła po stary album ze zdjęciami, na który właśnie padł jej wzrok. Trochę się obawiała powrotu do wspomnień, ale pokusa zwyciężyła.

Odnalazła zdjęcie, na którym ktoś uwiecznił jej rodziców, ją samą i Trava. Uśmiechnęła się ze smutkiem, głaszcząc czule palcem rozradowane twarze mamy i ojca. Miała wtedy dziewięć lat, a Trav siedemnaście. Pojechali wszyscy na pokaz bydła do Fort Worth. Było to jedno z ostatnich zdjęć, na których byli wszyscy razem przed wypadkiem, w którym zginęli rodzice, oboje tacy jeszcze młodzi. Carrie żałowała bardzo, że nie sposób ożywić tych fotografii. Zawsze pragnęła pamiętać swoich rodziców jako postaci trójwymiarowe, pełne życia, ale po czternastu latach jej wspomnienia zbladły, podobnie jak fotografie.

Carrie już dawno temu podjęła życie na nowo, ostry ból z czasem złagodniał i stał się do zniesienia. Spowita mgiełką tęsknota przesłoniła okrutny, rozdierający żal, który zniszczył pozorną nienaruszalność jej idealnego, małego światka. Ale mimo upływu tych czternastu lat, nadal tęskniła za mamą i ojcem.

Gdy ze smutkiem odwróciła stronę, z następnej spojrzał na nią Ryan... Rosły, ale bardzo szczupły, barczysty, o dużych, brązowych oczach w ciemnej oprawie. Uśmiechnięty, silny, pełen życia. Miał wówczas osiemnaście lat, a ona tylko dziesięć. Serce zabiło jej mocniej, jak zawsze, kiedy go widziała, kiedy o nim myślała, kiedy pozwalała sobie wyobrazić, że Ry mógłby być dla niej kimś więcej niż tylko przyszywanym starszym bratem.

Na domiar złego, tuż przed wypadkiem rodziców, Travis wstąpił do piechoty morskiej i wkrótce potem, kiedy rodzice Ryana przygarnęli ich oboje, musiał stać się w swojej jednostce. Carrie czuła się straszliwie osamotniona. Jeszcze dziś łzy stawały jej w oczach, gdy wspominała te samotne noce, kiedy to Ry zaglądał do jej pokoju, urządzonego szczególnie starannie i ciepło przez jego matkę, tak, aby ta mała, nieszczęśliwa osobka czuła się w nim jak najlepiej.

Gdy Ryan stawał wtedy w jej drzwiach, jego przystojna twarz przybierała na moment wyraz bólu i bezsilności, potem jednak uśmiechał się szeroko i wchodził śmiało do środka, niczym duży, hałaśliwy niedźwiadek.

Robił wszystko, aby wywołać na jej twarzyczce uśmiech, rozśmieszyć ją jakąś opowiastką i wreszcie, zupełnie nieświadomie, rozbudzić w tej dziesięcioletniej dziewczynce, jaką wówczas była, małą kobietkę, która miała go z czasem pokochać.

- Teraz to my jesteśmy waszą rodziną - powtarzała jej wielokrotnie mama Trávisa po tym tragicznym dniu.
- Ty i Travis jesteście naszymi dziećmi. Wasz tata pracował u nas od wielu lat. Kochałam twoją mamę jak własną siostrę, a twój tata był dla mojego Johna jak brat... dokładnie tak, jak Travis i Ryan. I tak samo ty jesteś teraz naszą córeczką.

Carrie cicho zamknęła album i przycisnęła go do piersi, tak jak Sandy, mama Ryana, przytulała ją kiedyś do swojej. Ten album zamykał w sobie jej przeszłość. Do przeszłości należały też jej marzenia, że zdobędzie kiedyś miłość Ryana. Dziś nadszedł jednak wreszcie czas opamiętania. Ry Evans nigdy jej nie pokocha, nie będzie jej wymarzonym księciem z bajki.

- A więc nadeszła wreszcie ta chwila - szepnęła Carrie i poczuła, jak ogarnia ją wielki żal. Po policzku potoczyła się łza. Tak bardzo marzyła o własnej rodzinie. Pragnęła mieć męża i małe, pyzate dzieciaki. A skoro dotarło do niej w końcu, że Ry nie chce być bohaterem tych marzeń, postanowiła znaleźć sobie kogoś, kto go zastąpi. I to szybko.

Przestraszyło ją nagłe pukanie do drzwi. Podniosła się z kanapy i przeszła do holu, zerkając po drodze

na zegar ścienny. Była prawie północ. Wzdrygnęła się ponownie, kiedy spojrzała przez judasza.

- Ryan - zdumiała się, otwierając mu drzwi.

- Się masz, misiaczku - odezwał się z figlarnym uśmiechem. - Mogę wejść? Tylko na chwilkę. Chyba że dziś wieczorem uznasz mnie za persona non grata?

Carrie skierowała wzrok na jego przystojną twarz i spojrzała w uśmiechnięte brązowe oczy, które zawsze, odkąd tylko pamiętała, sprawiały, że robiło się jej ciepło na sercu. Pod lewym okiem przez policzek biegła wąska, półkolista blizna, pamiątka po występach w rodeo i spotkaniu z dzikim mustangiem, który o mały włos nie wdeptał go w ziemię.

Miał też inne blizny, zwłaszcza na dłoniach, usianych otarciami i zadrapaniami podczas pracy z bydłem. Zgrubienie u podstawy nosa wskazywało, że kiedyś był złamany... może przez konia, a może podczas bójki w barze. Carrie wiedziała, że kiedy Ryan występował w rodeo, często zaglądał do baru, gdzie mężczyznom niewiele było trzeba, żeby puścić w ruch pięści.

Miał przed laty nadzieję, że zostanie mistrzem rodeo. I niewiele brakowało, by jego marzenia się spełniły.

- Carrie? Hop-hop? Gdzie ty odpłynęłaś, słoneczko?

- Przepraszam cię - odpowiedziała, mrugając powiekami i powracając do rzeczywistości. Otworzyła szerzej drzwi, żeby jej gość mógł wejść do środka. - Zaskoczyłeś mnie - dodała niepewnie. - Czy coś się stało?

- Ja po prostu... po prostu chciałem się upewnić, że dobrze się czujesz po... no wiesz po czym.

- Po tym, jak wyprowadziłeś mnie z restauracji niczym nieposłuszne ciele?

- Nno tak... - wybąkał.

- Nie przejmuj się - powiedziała Carrie, która walczyła z uczuciem, że znowu topnieje jej serce. - Ale nie rób tak więcej, okej?

- To znaczy, że nadal zamierzasz...

- Poderwać doktora Beldona? - przerwała mu zuchwale Carrie. - Wiesz co, Ry? Myślę, że ty i Trav - i chyba także wszyscy faceci z tego waszego elitarnego Klubu Ranczerów - wyobrażacie sobie, że jesteście błędnymi rycerzami, którzy muszą spieszyć na ratunek wszystkim białogłowom, aby broń Boże włos nie spadł im z głowy.

Gdy Ry wyglądał na zaskoczonego, ciągnęła dalej:

- Nie zgrywaj niewiniątka, Ry. Wiem, że czasem znikacie z miasta na parę dni, żeby dokonać jakiegoś szlachetnego czynu. Zapobiec jakiejś ohydnej zbrodni czy uratować jakiś kraj przez zamachem radykalnych ekstremistów. I nie martw się, nie mam zamiaru ujawniać waszych sekretów. Jakich? Weźmy dla przykładu Natalie. Wiem, że staracie się dowiedzieć, dlaczego musiała szukać schronienia w Teksasie. Mam nadzieję, że się wam uda. Kocham ją jak siostrę i uwielbiam jej malutką Autumn. Chcę, żeby były bezpieczne, żeby Natalie już nigdy więcej nie miała takich wystraszonych oczu.

- Carrie... - usiłował zaprotestować Ry.

- Dobrze, dobrze - przerwała mu. - Nie chcesz mówić, to nie mów. Ale tymczasem proszę cię, zapamiętaj jedno. Ja nie jestem Natalie. Nie potrzebuję ochrony. A skoro tak, to nie powinno cię obchodzić, co ja robię, a czego nie robię. Ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek w przyszłości. Sama potrafię o siebie zadbać.

Carrie ze zdziwieniem zauważyła, że Ry posmutniał.

- To, co ty robisz, kochanie, zawsze mnie będzie obchodzić - powiedział cicho i dotknął jej policzka, ale zaraz potem cofnął rękę. - Proszę cię tylko, bądź ostrożna, dobrze?

A potem, nie panując już nad sobą, objął ją lekko za szyję i pocałował w czoło.

- Dobranoc, misiaczku. Zamknij za mną drzwi na zamek.

Carrie przez dłuższą chwilę stała jak wrośnięta w podłogę i z bijącym sercem patrzyła, jak Ry wsiada do samochodu i odjeżdża.

- Do widzenia, Ryan - szepnęła. Odpowiedziała jej nocna cisza pustej ulicy. Carrie zdawała sobie sprawę, że jest to jej ostateczne pożegnanie z nadzieją, którą pielęgnowała przez długie czternaście lat.

Niedługo potem położyła się do łóżka z mocnym postanowieniem, że musi teraz rozpocząć nowy rozdział swojego życia. Ale z kim?

Przebiegła w myśli listę potencjalnych kandydatów i skonstatowała, że jest to bardzo krótka lista. I trudno się dziwić. Travis robił wszystko, żeby jej obrzydzić każdego ewentualnego przyjaciela, na żadnym nie zostawiając suchej nitki.

O tak, Carrie świetnie wiedziała, że jej brat w gruncie rzeczy pragnie jej dobra i nie zdaje sobie sprawy, że wszystkich w ten sposób od niej odstrasza, ale taka była prawda. Gdyby nie on, i gdyby nie Ryan, z którym wiązała tyle nadziei, nie byłaby dziś samotną, dwudziesto-czteroletnią panną, na dodatek jeszcze dziewicą.

- No dobrze, braciszku, pora, żebym zaczęła sobie układać życie bez twojej kurateli - mruknęła, przewracając się na drugi bok i wtulając głowę w puchową poduszkę. Pomyślała, że dziś już nie jest dziesięcioletnią dziewczynką, osieroconą i zagubioną, tęskniącą za mamusią i tatusiem. Dziś jest dojrzałą kobietą -w każdym razie pod względem wieku. Ale zupełnie zieloną, gdy idzie o życiowe doświadczenie. Zwłaszcza w dziedzinie spraw męsko-damskich.

Jednak od jutra wszystko to się zmieni. Była gotowa zacząć nowe życie i pójść na całość. Pohulać sobie trochę, zanim znajdzie towarzysza na resztę życia i założy rodzinę.

Musi być przecież ktoś taki, kogo nie onieśmieli i nie zniechęci jej brat. Ktoś, kto nie wychował się w tym mieście i kogo Travis nie wystraszy. Kto jest tutaj nowy.

Ktoś taki, jak dr Nathan Beldon.

Wszystko na niego wskazywało.

Tak, niech to będzie doktor Beldon, postanowiła.

Może nie najlepiej to o niej świadczy, że jest gotowa zdecydować się na romans z kimkolwiek, byle tylko ten ktoś nie wziął nóg za pas ze strachu przed Travisem. No cóż, czasami, jeśli nie ma innego wyjścia, trzeba ustawić poprzeczkę nieco niżej.

Carrie kochała swoje zajęcia w bibliotece, gdzie pracowała też jej przyjaciółka, Stephanie Firth, a także lubiła pomagać w szpitalu na oddziale oparzeń, ale największą przyjemność sprawiały jej godziny spędzane w przedszkolu.

Uwielbiała dzieci. Także te małe i nieśmiałe, i zasmarkane, a nawet takie, które potrafiły gryźć i kopać, kiedy się rozzłościły. I pragnęła mieć własne dzieci, z mężczyzną, z którym chciałyby spędzić całe życie.

No i wreszcie chciała się przekonać, na czym właściwie polega magia seksu. Miała już dosyć swego dziewictwa. Jeśli Nathan Beldon wprowadziłby ją w tajniki życia intymnego, to może byłby również tym mężczyzną, z którym mogłaby się związać na stałe i mieć dzieci.

I do diabła Travem i Ryanem. Niech sobie mówią, co tylko chcą. Kto by się nimi przejmował.

- Wydawało mi się, że już to ustaliliśmy, stary - powiedział Trav Whelan, kładąc rękę na ramieniu Ry-

ana, kiedy następnego popołudnia zasiedli wygodnie w barze w Klubie Ranczerów. - Nie możesz mi teraz zrobić zawodu i się wycofać. Tylko ty możesz mi pomóc.

Ry zorientował się, że rozmowa nie przebiega zgodnie z jego planem, a już mu się wydawało, że przygotował sobie niezbite argumenty. Niech Trav poprosi któregoś z kolegów z klubu, żeby miał oko na Carrie, dopóki nie rozwikła tajemnicy otaczającej Natalie Perez i jej dziecko. Ry chętnie uczestniczył w wielu niebezpiecznych akcjach, dyskretnie przeprowadzanych przez członków klubu, ale do roli anioła stróża z pewnością się nie nadawał. A już zwłaszcza do roli anioła stróża Carrie.

Trav jednak był odmiennego zdania i nie chciał przyjąć do wiadomości rezygnacji Ryana.

- To ciebie wybrałem - powiedział z naciskiem. - Zawsze ciebie wybierałem, bo mam do ciebie absolutne zaufanie. Znasz mnie przecież dobrze od lat i świetnie wiesz, że nie powierzyłbym tego zadania jakiemuś chłystkowi, który mógłby zwietrzyć okazję i wykorzystać Carrie. Tylko do ciebie mogę się zwrócić. I wiesz dobrze, że ja sam nie mogę jej pilnować do czasu, kiedy skończy się ta cała afera z Natalie.

Ry westchnął bezradnie, a tymczasem Trav ciągnął dalej, nie zważając na jego protesty.

- Jestem przecież ojcem - powiedział i powtórzył to słowo, jakby nie mógł jeszcze uwierzyć w swoje

szczęście. - Jestem ojcem i ta dziewczyna, i nasze dziecko to całe moje życie... Ry, przecież świetnie wiesz, że Natalie i dziecku wciąż grozi niebezpieczeństwo.

Tak, Ryan zdawał sobie z tego sprawę. Podobnie jak Carrie, która wiedziała, że członkowie klubu uczestniczą w różnych tajnych operacjach. Nakazywał im to ich kodeks honorowy i misja, którą mieli do spełnienia. Sprawiedliwość, pokój, przywództwo... zawsze przyświecały im szczytne cele.

Ostatnio kilku z nich - Trav, David Sorenson, Clint Andover, Alex Kent i szejk Darin ibn Shakir - próbowało rozwikłać tajemnicę, na którą natknęli się pewnej zimnej, listopadowej nocy i która wciąż pozostawała niewyjaśniona. To prawda, że dziś wiedzieli znacznie więcej niż wtedy, kiedy pewna kobieta o nieustalonej wówczas tożsamości, ledwie żywa, chwiejąc się na nogach, weszła do miejscowej restauracji. Na lewym ręku trzymała dopiero co urodzoną maleńką dziewczynkę, a w prawym dźwigała dużą torbę na pieluszki, w której, jak się okazało, było pół miliona dolarów. Ale wciąż jeszcze wiedzieli za mało.

Tą kobietą, która szybko po przybyciu do Royal zasłabła, a potem popadła w śpiączkę i dopiero niedawno odzyskała świadomość i pamięć, była Natalie Perez, obecnie narzeczona Trvisa. Dziecko było jego, ale w swoim czasie oboje postanowili nie wiązać się jeszcze na stałe. Teraz wszystko się zmieniło, Natalie

i Travis byli szczęśliwi, że ich romans znalazł tak nieoczekiwany i cudowny epilog.

Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę, Ry machinalnie obracał w ręku szklankę z piwem.

- A jak się ma Natalie? I mała Autumn?

- Dobrze, obie są zdrowe. Wiesz, Ry - Trav podniósł na niego oczy sponad swojej szklanki, w którą wpatrywał się niewidzącymi oczami - nie mogę wprost uwierzyć, że od niej odszedłem. Przecież mógłbym stracić je obie. I o mały włos tak się nie stało. Ten drań Birkenfeld... przecież niewiele brakowało, żeby zamordował Natalie i sprzedał nasze dziecko.

Ry westchnął głęboko, przypominając sobie szczegóły tego zdarzenia. Tej listopadowej nocy, kiedy Natalie zjawiała się w restauracji z wizytówką Teksaskiego Klubu Ranczerów w zaciśniętej dłoni, Ryana tam nie było. Nie było też Travisa ani Darina, którzy wyruszyli z misją za granicę i mieli wrócić dopiero pod koniec grudnia.

Natalie zaczęła powracać pamięć dopiero wtedy, kiedy ujrzała Travisa na zabawie sylwestrowej, tuż po jego powrocie z Europy.

Przypomniała sobie wreszcie i jego, i ich krótki, lecz intensywny romans, którego owocem była mała Autumn. Ale dopiero kilka tygodni potem przypomniała sobie, dlaczego znalazła się w Royal z torbą wypchaną taką furą pieniędzy. Jej opowieść była tak niesamowita, że Ry do dziś miał trudności z ogarnięciem wszystkich jej daleko idących konsekwencji.

Tak się złożyło, że Natalie pracowała w klinice położniczej, kierowanej przed doktora Romana Birkenfelda. Z czasem zauważyła ze zdziwieniem, że zaskakująco dużo samotnych kobiet traci po porodzie dzieci. Tak ją to zbulwersowało i przeraziło, że zaczęła po cichu przeszukiwać zasoby komputera i ku swojej zgrozie odkryła, że dzieci te wcale nie umierały, ale były sprzedawane. Niestety pech chciał, że zanim zdążyła powiadomić o tym policję, sama zaczęła rodzić.

I od tej chwili popadła w tarapaty. Okazało się, że poczciwy doktor miał wobec jej dziecka takie same zakusy, jak wobec wielu innych. Przed porodem odurzył Natalie jakimś narkotykiem, aby nie miała pełnej świadomości tego, co się wokół niej dzieje. Następnego ranka, kiedy nie pokazano jej dziecka, Natalie była pewna, że Birkenfeld powiadomi ją, podobnie jak to czynił w przypadku wielu innych samotnych matek, iż jej dziecko nie żyje. Jakimś cudem udało się jej wymknąć z kliniki i pojechać taksówką za Birkenfeldem i pielęgniarką, jego współpracowniczką, na lotnisko, z którego zapewne ta para zamierzała odlecieć z nowo narodzonym dzieckiem, by je dostarczyć potencjalnym nabywcom.

Kiedy pielęgniarka zabrała dziecko do toalety, żeby je przewinąć, Natalie postanowiła działać. Lęk o dziecko dodał jej sił. Powaliła zaskoczoną kobietę na posadzkę i porwała swoje maleństwo oraz torbę na pieluszki, która, jak się potem okazało, była wypchana

po brzegi banknotami, spoczywającymi teraz bezpiecznie w klubowym sejfie. Udało się jej uciec na stację autobusową, ale Birkenfeld i jego współpracowniczka doścignęli ją w Amarillo.

Ponieważ od tego momentu Natalie nie mogła sobie niczego więcej przypomnieć, Trav wraz z kolegami słusznie przypuszczali, że nad nią i jej dzieckiem wciąż wisi zapewne poważne niebezpieczeństwo, nie potrafili tylko odgadnąć, kto i co może im grozić.

- Czy Natalie przypominała sobie coś jeszcze? - zapytał Ry.

- Niestety nie - potrząsnął głową Trav. - Pamięta jedynie, że Birkenfeld ją dopadł, że się z nią szarpał i że mocno uderzyła się w głowę.

Ry widział, jak bardzo jego przyjaciel to wszystko przeżywa. Twarz Trava mieniła się różnymi emocjami, od gniewu i bezsilności poprzez ulgę, że jego ukochana kobieta i dziecko zdołały się uratować i są na razie bezpieczne, po niepokój, że Birkenfeld zapadł się wprawdzie pod ziemię, ale wciąż im zagraża.

- Natalie nie wie, jak udało się jej uciec - ciągnął dalej Trav. - Wczoraj wieczorem powiedziała mi, iż zdołała zachować przytomność tak długo tylko dlatego, że musiała jakoś dotrzeć do mnie i szukać ratunku. A mnie tu wtedy nie było - jęknął z bólem.

- Hej - pocieszał przyjaciela Ryan, klepiąc go po plecach. - Ale już wróciłeś i ona wie, że może na ciebie liczyć. Że obie mogą na ciebie liczyć. Zawsze.

A także na wszystkich pozostałych członków klubu, którzy byli zdecydowani zrobić wszystko, byle tylko odnaleźć Birkenfelda i jego współpracownicę. Zwłaszcza po tym, jak w tajemniczy sposób spłonął dom Tary Roberts, która zaprosiła Natalie do siebie i ofiarnie ją pielęgnowała. Można było przypuszczać, że Birkenfeld maczał w tym palce, chcąc w ten sposób zastraszyć Natalie oraz tych wszystkich, którzy jej pomagali.

- Ten potwór gdzieś się musi ukrywać - skonstataował zimno Travis, zacinając gniewnie usta. - Dopóki nie wpadniemy na jego trop i Birkenfeld nie trafi za kratki, Natalie i mała nie mogą być bezpieczne. Muszę stale mieć na nie oko. I właśnie dlatego, Ry, tak bardzo potrzebuję twojej pomocy. Carrie...

- .. .jest już dużą dziewczynką - powiedział z naciskiem Ry, wciąż zdecydowany jakoś się wyplatać z dalszej nad nią opieki. - Właściwie to nie bardzo rozumiem, dlaczego uważasz, że i ona potrzebuje ochrony. Jej ta sprawa przecież nie dotyczy.

- Ale dotyczy mnie. I jestem przekonany, że Birkenfeld jest tego w pełni świadomy. Czy jesteś na sto procent pewien, że ten chory na umyśle łajdak, który przed porodem podaje kobietom narkotyki, a potem wmawia im, że ich nowo narodzone dzieci zmarły, a następnie chyłkiem je wywozi po to, żeby je sprzedać za górę pieniędzy, że ten maniak nie będzie się starał dotrzeć do Natalie poprzez mnie samego i bliskie mi osoby?

Ry w głębi duszy musiał mu przyznać rację. Nie mógł mieć takiej pewności. A ponieważ Carrie jest siostrą Trava, więc i jej może grozić poważne niebezpieczeństwo.

- Masz słuszość - pokiwał z przekonaniem głową.
- Trzeba być chorym na umyśle potworem, żeby tak postępować. Po takim człowieku można się spodziewać wszystkiego.

- I dlatego komuś, komu absolutnie ufam, powierzyłem zadanie opieki nad moją siostrą do czasu, kiedy ta sprawa wreszcie się zakończy - powiedział Trav, patrząc mu prosto w oczy.

No tak, pomyślał Ry. Muszę się poddać. Wobec tak przekonujących argumentów nie mogę mu odmówić.

- No dobrze - zgodził się, westchnąwszy głęboko.
- Będę ją chronił. Ale wciąż nie rozumiem, jaki jest w tym wszystkim udział Nathana Beldona.
- Może żaden - wzruszył ramionami Trav.
- Więc dlaczego mam na niego uważać?
- Bo on mi się nie podoba i tyle - odparł Trav.
- Nie mam przeciwko niemu żadnych dowodów, ale intuicja mi podpowiada, że nie należy mu ufać.

ROZDZIAŁ TRZECI

- O rety, co ja tutaj robię - mruknął pod nosem Ryan, naciągnawszy kapelusz na oczy. Siedział zgarbiony za kierownicą swego samochodu i obserwował, jak Carrie wchodzi do baru, wsparta na ramieniu Nathana Beldona. Może tym razem to Beldon ją podrywał, a nie ona jego? Tak czy owak, Ryan był pewien, że szpiegowanie Carrie nie wyjdzie mu na zdrowie. Za bardzo się przejmował tym, co ona robi. Trudno, żeby było inaczej, koniec końców Carrie zawsze była mu bliska.

Trav nazwał pilnowanie Carrie „niespuszczaniem jej z oka”, ale Wayne Vicente, komendant miejscowej policji, mógłby to pewnie zakwalifikować inaczej -jako śledzenie i prześladowanie. Ry czuł się w tej roli niezręcznie, głupio, niestosownie i... Hej, czyżby ten wredny doktorek położył teraz łapę na pośladku Carrie?

Drzwi wejściowe zamknęły się za nimi tak szybko, że Ry nie miał okazji przekonać się z całą pewnością, czy Beldon naprawdę się na to poważzył, czy mu się tylko zdawało.

Kanalia.

Ry nie zamienił z nim dotąd nawet dwóch słów, ale był przekonany, że to określenie świetnie do Beldona pasuje. Bez chwili wahania wysiadł z samochodu i ruszył w stronę wejścia. Trav prosił go, żeby miał oko na Carrie, i on właśnie to robi. Nic więcej. Przyjacielska przysługa i tyle. Wczorajszego wieczoru powziął mocne postanowienie, że bez względu na uczucia, jakie on wobec niej żywi, Carrie musi pozostać dla niego siostrą i nikiem więcej.

Nathan Beldon jest naprawdę dość atrakcyjnym mężczyzną, skonstatowała Carrie, siadając przy stoliku naprzeciw niego. Widać, że jest obyty i elegancki.

- Na pewno będzie ci tu wygodnie? - zapytał z uprzejmym uśmiechem, a w jego oczach dostrzegła błysk zainteresowania. Ryan nigdy nie okazywał jej takiego zainteresowania.

Postanowiła przestać myśleć o Ryaniu i odwzajemniła uśmiech sympatycznego doktora.

- Tak, to bardzo dobre miejsce - zapewniła go.

Carrie właśnie wychodziła z dyżuru w szpitalu, kiedy natknęła się na Beldona na parkingu, przedstawiła mu się i zapytała, czy nie zechciałby zjeść z nią kolacji.

Czuła się dumna ze swego zachowania, była chłodna, pewna siebie, nie nazbyt przyjacielska... a on bardzo uprzejmie przyjął jej propozycję. Nawet bardziej niż uprzejmie, można powiedzieć, że ochoczo.

Carrie ukradkiem spojrzała znad karty na swego towarzysza. Nathan Beldon nie jest może superprzystojniakiem, takim jak Travis czy Ryan, jest w typie bardziej klasycznym, gładkim, wyraz oczu zaś ma poważniejszy i chłodniejszy. Nie ma w tym nic złego, pomyślała Carrie, po prostu ma inny typ urody niż ten, do którego ona jest przyzwyczajona.

Jest też wyjątkowo wysoki, co uważała za jego duży atut, gdyż jej, jako kobiecie bardzo wysokiej, miło było móc podnosić wzrok na mężczyznę, a nie spoglądać na niego z góry. W towarzystwie Nathana mogłaby sobie pozwolić na noszenie nawet wysokich obcasów, które lubiła, ale rzadko je nosiła, nie chcąc wprawić w zakłopotanie towarzyszących jej mężczyzn.

Beldon, w odróżnieniu od Ryana, muskularnego i poruszającego się z wdziękiem wysportowanego mężczyzny, był bardzo szczupły, a jego ruchy znakomita wyrefinowana elegancja. Carrie była ciekawa, jak by się jej z nim tańczyło. Czy mogliby stanowić razem taki duet jak legendarni Ginger Rogers i Fred Astaire? Bo Carrie wprost uwielbiała tańczyć i, będąc muzykalna, wysportowana i pełna temperamentu, tańczyła świetnie. Niestety, jak dotąd, nie zawsze miała odpowiednich partnerów.

- Następnym razem - odezwał się Nathan uprzejmym i trochę onieśmielonym tonem - wybierzemy się do lepszego lokalu, na przykład do restauracji „U Kła-

ry". Mówiono mi, że jest uroczona i że jedzenie jest znakomite. Mają tam też podobno wyborne wina. Co ty na to? Ale może jestem zbyt natarczywy? - zapytał z niepokojem.

- Ależ skąd - Carrie uśmiechnęła się do niego promiennie. - To znakomity pomysł, bardzo chętnie bym się tam z tobą spotkała.

Carrie z przyjemnością spoglądała także na jego włosy, nienagannie ostrzyżone i ułożone, tak ciemnobrązowe, że aż prawie czarne. Ryan miał włosy grubsze, gęściejsze i zawsze trochę zmierzwione. Po raz chyba setny złapała się na tym, że porównuje Nathana Beldona do Ryana.

- Jeśli chcesz wiedzieć - dodała - to „U Klary” jest moim ulubionym lokalem.

Ta luksusowa francuska restauracyjka, prócz świetnej kuchni, służyła z romantycznego wnętrza i atmosfery. Zaproszenie do niej mogło za sobą pociągać wiele miłych zdarzeń w przyszłości. Tak, to by był dobry początek miłej, nowej znajomości. A może nawet romansu. Czemu nie?

- A więc już mam się na co cieszyć - powiedział aksamitnym głosem Nathan i posłał jej uśmiech zwiastujący, że po takim romantycznym wieczorze może oczekiwać czegoś więcej niż filiżanki kawy.

Carrie oderwała wreszcie od niego oczy, zdecydowana przestać porównywać go z Ryanem. W tym momencie podeszła do nich kelnerka, zgrabna czterdzie-

stoletnia brunetka o bujnych, mocno kręconych włosach, w ciasnym intensywnie różowym topie i króciutkiej czarnej spódniczce. Wszyscy goście ją uwielbiali, była bowiem bardzo bezpośrednia, miała wyjątkowe poczucie humoru i dla każdego miłe słówko.

- Witaj, Sheilo - powitała ją ciepło Carrie.

- Na co miałabyś ochotę? - zagadnął ją Nathan, w ogóle nie zwracając uwagi na Sheilę.

- Nie wiem, czy miałeś już okazję poznać Sheilę?

- zapytała Carrie. - W tej knajpce ona jest prawdziwą instytucją. Sheilo, to jest pan doktor Nathan Beldon

- przedstawiła jej uprzejmie swego towarzysza.

- Złotko, ja jestem instytucją w całym Teksasie - oznajmiła Sheila z taką miną, jakby była gwiazdą w jakimś starym westernie. - Jak się pan ma, doktorku?

- zwróciła się do Nathana, który raczył wreszcie podnieść na nią wzrok.

- Dziękuję, miło mi panią poznać - wybąkał i uśmiechnął się do niej z przymusem.

Carrie, która usiłowała być tolerancyjna i przekonywała samą siebie, że dziwne zachowanie Nathana jest wynikiem jego nieśmiałości, a nie braku wychowania, odłożyła kartę i uśmiechnęła się do Sheili.

- Mam ochotę na zupę pomidorową, a potem na sałatkę z tuńczyka.

- A co dla pana, doktorku?

- Może spróbuję polędwicy, średnio wysmażonej

- powiedział sucho.

- Zwykle podajemy ją z pieczonym ziemniakiem i sałatką z kapusty.

- Dobrze - kiwnął głową i nie zwracając już uwagi na Sheilę, spojrzął na Carrie, a raczej ponad jej głowę.

Carrie dosłownie zamarła, kiedy zniecacka zabrzmiał za nią właśnie ten głos, którego za żadne skarby świata nie chciałyby usłyszeć, zwłaszcza w tym miejscu i w tej chwili, kiedy wreszcie znalazła się sam na sam z Nathanem Beldonem. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak niezręcznie musiał się poczuć jej towarzysz, kiedy wyrósł przed nim Ryan Evans.

- Sheilo, kwiatuszku, przynieś mi to samo, co on zamówił - rzucił słodkim tonem, wskazując brodą Beldona.

Gdy Carrie podniosła na niego oczy, ujrzała go w pełni jego męskiej, nieco szorstkiej, kowbojskiej, teksańskiej urody, zdecydowanego podbić serce każdej kobiety, która by na niego spojrzała, a zwłaszcza Sheili.

Policzki miał zaróżowione od chłodnego, lutowego wiatru, kołnierz beżowego kożuszka otwarty, a spod naciągniętego na czoło kapelusza spoglądały inteligentne, brązowe oczy, w których migotały zalotne iskierki. W tej chwili nie oparłaby mu się żadna kobieta.

- Witaj, przystojniaczku - odezwała się pieszczotliwie Sheila.

- Czy wreszcie zdecydowałaś się mnie poślubić?
- przekomarzał się z nią Ry, całując ją w policzek.
- Gdybym uważała, że uda ci się dotrzymać mi kroku, aniołeczku, to może bym się zastanowiła, ale ja jestem realistką, a nie marzycielką, w odróżnieniu od ciebie. Ty potrafisz tylko marzyć o tym, czego nie możesz mieć.

- Niesamowita z niej kobieta - zachichotał Ry, kiedy Sheila odeszła od stolika i mimo oporu Carrie, która mocno postanowiła sobie nie dopuścić go bliżej do siebie, przysiadł się tuż obok niej przy stoliku.

Pachniał chłodnym wieczorem i dobrze wyprawioną skórą i wszystkim tak dobrze jej znanym, a mimo to zwodniczym, i w tym momencie Carrie nienawidziła go prawie tak mocno, jak go kochała, za to, że wciąż potrafi wzbudzać w niej tak silne uczucia.

On zaś najpierw spojrział na Nathana, który, jak Carrie zauważyła, zerkając na niego ukradkiem, niemal gotował się ze złości z powodu nieproszonego pojawienia się Ryana, a potem zwrócił oczy na nią.

- A to dopiero miła niespodzianka, nieprawda? - powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy i niewinnym wyrazem oczu. - Nawet nie śmiałem marzyć, że znajdę tu dziś tak sympatyczne towarzystwo. Chyba nie macie nic przeciwko temu, że się do was przyłączę?

- brnął dalej, nie zważając na mordercze spojrzenia, jakie rzuciła mu Carrie.

- No to świetnie - ucieszył się, zanim zdołała

otworzyć usta i zwrócił się z zabójczym uśmiechem do Nathana. - Jestem Evans. Ryan Evans - powiedział i wyciągnął do niego rękę poprzez stół. A pan nazywa się Nelson Beldon, prawda?

- Nathan. Doktor Nathan Beldon - poprawił go sztywno Nathan i, chcąc nie chcąc, podał mu rękę.

- Doktorek - pokiwał głową Ryan i wyszczerzył do niego zęby, ściskając dłoń Nathana z takim entuzjazmem, że ten cicho syknął z bólu.

A niech to diabli, pomyślała Carrie, wydając z siebie głucho westchnienie. Czy to się dzieje naprawdę? Czy Ryan usiłował właśnie pokonać Nathana siłą swoich mięśni? Czyżby chciał w ten sposób dać mu poznać, że wkroczył na jego teren? Nie, to niemożliwe, odrzuciła szybko tę niewczesną myśl.

- Co ty tu robisz, Ryan? - syknęła, uśmiechając się do niego nieszczerze i starając się nie zważać na nacisk jego uda na swoje.

- To samo co ty, misiaczku. Przyszedłem się posilić - odrzekł beztrąsko i zwrócił się do Nathana:

- Jak ci się podoba nasze miasto, Nolan?

- Nathan - poprawiła go Carrie, rzucając mu surowe spojrzenie. - Na imię mu Nathan.

- Nolan. Nie, Nathan, przepraszam cię, kolego. Więc... jesteś weterynarzem, zgadza się?

Carrie, która poczuła, jak płoną jej policzki, zamknęła oczy i zaczęła liczyć do dziesięciu. Tym razem Ryanowi stawił czoło sam Nathan.

- Jestem lekarzem medycyny. Ściślej mówiąc, specjalistą ginekologiem i położnikiem. A ty? Sądząc po twoim ubiorze, jesteś zapewne kowbojem, zgadłem?

Carrie uradowana otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się z satysfakcją. Super. Jeden zero dla doktora.

Ale gdy zerknęła na Ryana, spostrzegła, że uśmiecha się szeroko i z zadowoleniem, tak jak gdyby to on był górą.

Od tego momentu wieczór zaczął układać się fatalnie.

- Co ty sobie właściwie myślisz? - zapytała z oburzeniem Carrie, kiedy Nathan, z dumnie podniesioną głową, opuścił bar.

Ryan, który właśnie kończył swoją połędwicę, zawiesił w powietrzu widelec i zapytał z niewinną miną:

- O czym ty mówisz, kochanie? Czyżbym wam w czymś przeszkodził? Jeśli tak, to bardzo mi przykro.

- Wiesz, chętnie bym cię teraz udusiła.

Ryan odłożył wreszcie widelec i wziął głęboki oddech.

- Więc twoim zdaniem... ten facet jest kimś naprawdę wyjątkowym?

- Cóż, po twoich dzisiejszych występach pewnie nigdy się tego nie dowiem - parsknęła Carrie, opuszczając bezradnie ramiona.

Poczuła na sobie wzrok jego ciepłych, kasztano-

wych oczu, ale postanowiła sobie twardo, że na niego nie spojrzy.

- Wybacz mi, słonko, że to mówię - odezwał się Ryan po chwili milczenia - ale jeśli tak łatwo można go wystraszyć, to on nie tylko nie jest nikim wyjątkowym, ale wręcz nie zasługuje na to, żeby oddychać tym samym powietrzem, co ty.

Carrie oparła głowę na ramionach i westchnęła z rozpaczą.

- Przecież ja tylko chciałam zjeść z nim kolację i trochę go poznać. Nie rozumiem, co w tym złego? Możesz mi wyjaśnić?

Ry spojrział na nią, na jej lśniące, rude włosy, spływające kaskadą na opuszczone z rezygnacją ramiona, i poczuł się winny, że jej sprawił przykrość. Podniósł rękę, przez chwilę trzymał ją uniesioną nad jej plecami, potem jednak, nie mogąc się oprzeć pokusie, położył ją delikatnie na ramionach Carrie. Gdy nie zgłosiła sprzeciwu, łagodnie ją pogłaskał. Taka była szczupła i wiotka, pod jej bladozielonym sweterkiem poczuł delikatne mięśnie i kości.

Chciał ją tylko pocieszyć i ukoić trochę własne poczucie winy, ale ciepło jej ciała sprawiło, że przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać od niej ręki i, niejako wbrew swoim niewinnym zamiarom, to głaskanie zaczęło przeradzać się w pieszczotę, z której sam czerpał przyjemność.

Toż to przecież mała siostrzyczka Trava, pomyślał

wreszcie i z ciężkim sercem oderwał rękę, wyrzucając sobie, że myślał teraz o niej jako o ponętnej, seksownej kobiecie z krwi i kości.

- Czy miałabyś ochotę na tartę owocową? - zapytał nieswoim głosem.

Carrie podniosła głowę i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Tartę? - zapytała. - W ten sposób chcesz naprawić to, co nabroiłeś?

Ry nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, ten sposób bywał kiedyś całkiem skuteczny - powiedział z nadzieją w głosie.

- Masz rację. Kiedy miałam dwanaście lat.

- Dziś trzeba czegoś więcej, żeby ci poprawić humor, prawda, misiaczku?

Tak, Ry pomyślał, że z pewnością potrafiłby poprawić jej humor. Może nie tartą, ale pieszczotami. Zapragnął szczerze, żeby poczuła się szczęśliwa jako kobieta. ..

- Dziś trzeba - powiedziała, odgarniając falę płomiennych włosów z policzka - troszkę szacunku dla moich uczuć.

- Ależ ja cię szanuję, kwiatuszku. Natomiast nie jestem pewien, czy takie uczucia żywi wobec ciebie Nelson.

- Nathan - poprawiła Carrie, piorunując go wzrokiem. - Na imię mu Nathan, mógłbyś to zapamiętać,

a poza tym naprawdę nic mnie nie obchodzi, co ty o nim myślisz, rozumiesz? A teraz posuń się i daj mi przejść - powiedziała, wstając z krzesła. - I następnym razem, kiedy będę z Nathanem, nie chcę cię widzieć. Trzymaj się z dala od nas, przynajmniej na kilometr. Czy wyrażam się dość jasno?

- Hmm...

- No to świetnie.

Nie za świetnie mi poszło, pomyślał Ry, odprowadzając ją wzrokiem do drzwi.

- Kiedy zamierzasz coś z tym zrobić? - zagadnęła go Sheila, przysiadając się niego i wciskając mu do ręki rachunek za kolację.

- Zrobić coś z czym? - zapytał, z roztargnieniem sięgając do kieszeni po portfel.

- Przecież każdy głupi widzi, że wy dwoje macie się ku sobie.

Ryan chrząknął niepewnie, otworzył usta, po czym je znów zamknął, i znowu chrząknął.

- Ryan, nawet ślepy by to zauważył - dodała potrząsając głową Sheila. - Stuknij się w głowę i zadziałaj, ty nieszczęsny pajacu - rzuciła, wstając od stolika. - Przepraszam cię, ale muszę już lecieć, przyszli nowi goście.

Ryanowi przemknęło przez myśl, żeby zaprzeczyć, ale wiedział, że na nic się to nie zda, a może wręcz spowodować dalsze kłopoty. Uznał, że lepiej nie rozwijać tego tematu. A nuż ta rozmowa dotrze przypad-

kiem do uszu Trava... Miałby się wtedy z pyszna. Trav by mu nie darował, gdyby się dowiedział, że Ry interesuje się Carrie jak kobietą, a nie jak swoją młodszą siostrzyczką.

- A niech to wszyscy diabli - mruknął pod nosem, rzucając na stolik kilka banknotów i wciskając na głowę kapelusz. W swoim własnym interesie powinien się od niej trzymać z daleka. Lojalność nade wszystko. Oby tylko starczyło mu siły woli, by to postanowienie wcielić w czyn.

Niech piekło pochłonie Ryana Evansa. I to głupie kowbojskie miasteczko. Nathan Beldon od wielu już dni próbował znaleźć dojście do Carrie Whelan, ale, kiedy wreszcie nadarzyła się dobra okazja, Evans musiał popsuć mu szyki.

Kipiąc ze złości, otworzył drzwi do swego mieszkania, które wynajął w Royal w zeszłym miesiącu. Wpadł do sypialni i cisnął na biurko klucze. Wciąż nie mogąc opanować gniewu, zrzucił koszulę i spodnie.

- Wcześniej wróciłeś.

Nathan dopiero w tej chwili spojrzał na łóżko, na którym, uśmiechając się do niego i leniwie przeciągając, leżała naga platynowa blondynka.

- Co ty tu robisz? - warknął na nią, odwracając oczy.

- No, mój kochany, czyżbyśmy byli dziś nie w hu-

morze? Może randka ze słodką Carrie Whelan nie wypaliła?

- Już ci mówiłem - uciał, nie zważając na jej sarkastyczną uwagę - że musimy być ostrożni. Wszyscy mają cię tutaj za moją pielęgniarkę, i to wszystko. W ogóle nie powinnaś się tu pokazywać.

- Ależ ja byłem bardzo ostrożna - powiedziała blondynka, wydymając usta i spoglądając na niego załotnie. - Nikt nie zauważył, jak tu wchodziłam. I założę się, że ty chętnie mnie tu widzisz. Przyznaj się. Nie bądź dla mnie taki niemiły. Już od tylu dni nie byliśmy z sobą... no, wiesz jak - dodała ze znaczącym uśmiechem. - Twoja mała Marci bardzo się za tobą stęskniła.

Nathan spojrział na nią surowo i przez moment zastanawiał się, czy jej nie wyrzucić z mieszkania i nie zabronić, by się tu pokazywała do czasu, kiedy on uzna, że jest już bezpiecznie, ale w końcu doszedł do wniosku, że jednak nie oprze się jej kuszącym kształtom i czerwonym ustom. Marci odrzuciła na ramiona włosy, które spowiły ją jak połyskująca, złoto-srebrna perlerynka, wyciągnęła do niego ponętne ramiona i powiedziała:

- Chyba nie chcesz, żebym sobie poszła, Roman? On zaś grożąc jej palcem i klnąc cicho pod nosem, podszedł do łóżka.

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie używała mojego prawdziwego imienia?

- Dobrze, dobrze - odezwała się Marci ze zniecierpliwieniem w głosie. - Wiem, nazywasz się Nathan. Znam reguły. Dość często mi o nich przypominasz. Dopóki tkwimy w tym zakichanym miasteczku, dopóty jesteś doktorem Nathanem Beldonem, a nie doktorem Romanem Birkenfeldem, a ja jestem siostrą Mary Campbell, a nie Marci Carson. A teraz... czy rzeczywiście chcesz, żebym sobie poszła... Nathan?

Nathan omiótł spojrzeniem jej ciało. Nie, nie życzył sobie tego. Przynajmniej nie w ciągu następnej godziny. Wciąż potrzebował jej współpracy w realizacji tego przekrętu. A teraz chciał się wyluzować. Marci akurat w dobrym momencie mu się nawinęła.

W jego głowie panował ostatnio zamęt, który domagał się uporządkowania. Trzeba było przegrupować siły, zebrać myśli i zrewidować plany. Zapomnieć o tym, co zrobił z prawdziwym doktorem Nathanem Beldonem, którego tożsamość sobie przywłaszczył, i przestać się martwić, że prawda wyjdzie na jaw. Nawet gdyby policja w Dallas odnalazła ciało Beldona - a Nathan postarał się, żeby jej to uniemożliwić - nie uda się jej oskarżyć go o to morderstwo. Nie był tak głupi. Gdyby był głupi, nie zaszedłby tak daleko.

Musi po prostu się nie dać, wytrwać i dorwać wreszcie Natalie Perez. Tę małą zmiję. To ona weszła mu w paradę i namieszała. Domyśliła się, że on handluje dziećmi i dała drapaka ze swoim bachorem i kasą Nathana. Forsą ze sprzedaży dzieci, którą gromadził

od miesiący, żeby spłacić lichwiarzy, u których się zapożyczył. Potrzebował pieniędzy na spłacenie długów karcianych, jakie porobił w Atlantic City. Jeśli nie odzyska tej kasy i dzieciaka, jego życie nie będzie warte grosza. Za sprawą Natalie Perez zawisło ono na włosku. Lichwiarze wyraźnie go ostrzegli, że jeśli nie zwróci im forsy, zamordują go z zimną krwią. I nie będzie to śmierć szybka ani łatwa. Więc niech lepiej się pośpieszy, bo ich cierpliwość już się wyczerpała.

Tak, trzeba jak najprędzej odzyskać bachora i forszę. A przedtem trochę odsapnąć, sprawić sobie przyjemność, uspokoić się, zebrać myśli. Nie było łatwo udawać, że się jest kimś innym, stale się mieć na baczności, nie popełnić żadnego błędu, który mógłby wzbudzić czyjeś podejrzenie, zaplanować i przeprowadzić całą akcję tak, by zakończyła się sukcesem, a nie wpadką. Ostatnio nerwy nie dawały mu spać. Wychudł, zmizerniał. Tak, ta kobieta pomoże mu się pozbierać.

- Chodź tu do mnie, mój ty koteczku - mruknęła uwodzicielsko Marci, kładąc głowę na poduszce. - Obiecuję, że przy mnie poczujesz się lepiej.

No tak, pomyślał Nathan. Właśnie takiej siostry miłosierdzia mi potrzeba.

Położył się przy niej na wznak, założył ręce pod głowę i oddał się rozmyśleniom. O Carrie Whelan będzie się martwił jutro rano. Naiwna idiotka, amatorka dobrych uczynków. Wolontariuszka. Niczym dojrzała wisienka, czeka tylko, żeby ktoś ją zerwał. Czeka na

niego. Jeszcze chwila, a zakocha się w nim po uszy. A on jej nie będzie w tym przeszkadzał. Dla niego Carrie Whelan jest tylko środkiem wiodącym do celu. A potem, kiedy już nie będzie mu potrzebna, niech sobie idzie do diabła. W tym miasteczku mieszkają chyba sami kretyni, wszystkich tak łatwo oszukać. Włącznie z zarządem szpitala. Nawet nie przyszło nikomu do głowy, żeby sprawdzić papiery dotyczące jego uprawnień, które ukradł z gabinetu doktora Beldona. Banda łatwowiernych durniów. Bez najmniejszego trudu udało mu się przeniknąć do środowiska lekarzy i uzyskać przywileje w szpitalu. Po prostu zameldował się u dyrektora i oświadczył, że pragnie wziąć udział w programie międzystanowej wymiany lekarzy. Dyrektor, poszukujący właśnie kogoś na miejsce zwolnione ostatnio przez lekarza, który wyprowadził się z Teksasu, był zachwycony, mogąc go przyjąć.

Dotąd wszystko szło jak po maśle. Nathan panował nad sytuacją. Teraz trzeba było tylko wykonać plan, który sobie obmyślił. Zbliżyć się do Carrie Whelan, a za jej pośrednictwem do jej brata Trávisa, który powinien go zaprowadzić wprost do swojej dziewczyny, Natalie Perez.

A kiedy już dopadnie Natalie, ona mu za wszystko słono zapłaci. Zapłaci mu z nawiązką za to, co mu zrobiła. Wszyscy mu zapłacą. Nikt nie zapędzi w kozi róg Romana Birkenfelda. I nikt go nie powstrzyma. Ani jego świętoszkowaty braciszek, ani siostrzyczka cnotka,

ani też rodzice, których nigdy nie umiał zadowolić. Zawsze go za coś krytykowali. Miał tego serdecznie dosyć. Świetnie wiedział, ile jest wart.

Teraz nadszedł wreszcie czas, aby Roman Birkenfeld zadowolił siebie samego. I lepiej, żeby żadna kobieta - a zwłaszcza Natalie Perez - mu w tym nie przeszkadzała. Lepiej dla niej samej. Nie z nim takie numery.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Carrie nie posiadała się ze zdumienia. Nathan mimo tej całej hecy zadzwonił do niej - już następnego dnia - i chciał się z nią umówić na wieczór. Jego natarczywość pochlebiła jej i sprawiła przyjemność. Bez wahania zgodziła się na to spotkanie.

Ubrała się, upięła włosy w luźny węzeł, a na koniec użyła kosztownych i bardzo seksownych perfum, które podarowała jej na Boże Narodzenie przyjaciółka, Stephanie Firth, i wreszcie spojrzała w lustro, by ocenić ostateczny efekt.

Miała na sobie nową, specjalnie na tę okazję kupioną sukienkę, czarną, krótką, obcisłą, z głębokim dekoltem, w której jej smukła figura naprawdę świetnie się prezentowała, ale przez chwilę Carrie ogarnęły wątpliwości, czy ten strój nie jest aby zbyt śmiały. Machnęła jednak ręką, dodając sobie odwagi i włożyła niebotycznej wysokości szpilki, całe z czarnych paseczków z mięciutkiej, włoskiej skórki. Jeszcze jedno szaleństwo... Ale przy swoim wzroście nieczęsto mogła sobie pozwolić na włożenie na randkę wysokich obcasów.

No i w ogóle nieczęsto chodzę na randki, pomyślała

z goryczą. Tobie to zawdzięczam, braciszku. Ciekawe, jak zareagowałby Ryan, gdyby ją ujrzał w takim stroju. Pewnie kazałby się jej przebrać w sweter i spodnie...

Ale tego wieczoru Carrie nie miała zamiaru sprawiać przyjemności ani Travisowi, ani Ryanowi. To miał być jej wieczór. Jej i Nathana. Tylko Stephanie wiedziała o randce Carrie, która chciała mieć absolutną pewność, że Ry nie zepsuje jej znowu kolacji, kierując się z gruntu mylnym wyobrażeniem, że Carrie nie potrafi sama o siebie zadbać.

Pomalowała usta jaskrawoczerwoną szminką, dobraną do koloru lakieru do paznokci, przekonała sama siebie, że wygląda elegancko, lecz nie wyzywająco, narzuciła płaszcz i ruszyła do drzwi. Nie chciała, żeby Nathan na nią czekał. Wiedziała, że trudno mu wykroić czas na spotkanie z nią, tyle miał pracy w szpitalu, i dlatego też przeprosił, że nie będzie mógł po nią przyjechać. Mieli się spotkać już na miejscu, w restauracji „U Klary”. Wcale jej to nie przeszkadzało, nawet była zadowolona, że będzie miała efektowne wejście.

Marzyło się jej, że na jej widok doktor padnie przed nią na kolana. Jeśli jej strój tego nie dokona, to sprawę będzie musiała uznać za beznadziejną. I kiedy zamigotała jej przed oczyma czerwona lampka ostrzegająca, że być może popełnia błąd i zbyt śmiało sobie poczyna, Carrie postanowiła ją zlekceważyć.

Jest już dorosłą kobietą. I ma do siebie zaufanie. Dotąd zawsze trafnie oceniała ludzi. I teraz była prze-

konana, że Nathan Beldon jest w porządku. Że ma nie tylko zniewalający uśmiech, ale także prawy charakter. Nie jest taki jak Ry, to prawda. Ale Ry w ogóle się nią nie interesuje jako kobietą. Musi o nim zapomnieć. Koniec kropka, raz na zawsze. A Nathan się interesuje, i to bardzo. Carrie miała nadzieję, że jej urok, poparty odjazdową czarną sukienką, pomogą mu utwierdzić się w tym zainteresowaniu.

Wino, skonstatowała z przyjemnością, było wyśmienite, światło świec na stołach romantyczne, a Nathan wyraźnie nią zainteresowany. Posłała mu przez stolik uwodzicielski uśmiech.

- Czy już ci mówiłem, że wyglądasz dziś fantastycznie? - zapytał, odrywając wzrok od jej twarzy i spoglądając w dekolt, pod którym rysowały się wysokie, kształtne piersi, a potem znów podnosząc oczy.

- Dwa razy - odparła filuternie. - I szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dlaczego miałbyś przestać mi to mówić.

Nathan zaśmiał się z zadowoleniem i zbliżył kryształowy kieliszek do jej kieliszka.

- A więc, za początek pięknej... przyjaźni - rzekł, po znaczącej pauzie.

- Tak - powiedziała Carrie, znowu ignorując mrugające czerwone światełko i stukając się kieliszkiem z Nathanem.

Ry czuł się jak kanalia. No bo przecież był kanalią.

- Może mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Ry uśmiechnął się ze smutkiem do Stephanie Firth, która siedziała przy nim w samochodzie. Ta szczuplutka, wyjątkowej urody młoda kobieta o figurze modelki, bibliotekarka i instruktorka miejscowego kółka teatralnego, nie była zupełnie świadoma wrażenia, jakie robi na płci przeciwnej.

Ry i Steph byli kumplami jeszcze w szkole podstawowej. Dziś Stephanie nosiła swoje jasnobrązowe włosy długie i proste, w czasach szkolnych zaplatała sobie warkocze, a śliczne orzechowe oczy ukrywała za dużymi okularami. Ry robił za klasowego błazna, Steph natomiast była najlepszą uczennicą i bolała bardzo nad swoją wyjątkową inteligencją i wysoką, niezwykle szczupłą figurą.

Ona pomagała Ryanowi w fizyce, on zaś rewanzował jej się, rozkładając na łopatkach Josha Bowsteda, klasowego łobuza, kiedy tylko ten wyzywał ją od intelektualistek lub nazywał Einsteinówną albo tyką, bądź w inny sposób się z niej naigrawał.

Na pierwszym roku studiów umówili się nawet parę razy na randkę, ale pierwsze pocałunki nie spełniły ich oczekiwań i doprowadziły oboje raczej do chichotu niż miłego podniecenia, toteż uznali, że skoro nic między nimi nie zaiskrzyło, to lepiej, by po prostu pozostali na zawsze dobrymi przyjaciółmi. I tak też się stało.

Ry i Stephanie zawsze byli gotowi wspierać się we wszystkich kłopotach.

Dziś jednak Ryan zamierzał ją wykorzystać, i dlatego poczuł się jak kanalia. Ale przecież nie mógł jej wyjawiać całej prawdy ze względu na umowę z Travisem. Sprawa jego opieki nad Carrie była ich wspólną tajemnicą.

- Czy stary przyjaciel musi mieć specjalny powód, żeby zaprosić na kolację swoją starą przyjaciółkę? - zapytał, strugając niewiniątko.

- Pewnie nie musi - odparła Stephanie, lustrując go podejrzliwie wzrokiem, kiedy wchodzili do restauracji „U Klary” - ale to przedziwny zbieg okoliczności, że - chociaż przedtem tak spieszyłeś się do domu po załatwieniu swoich spraw w banku - kiedy tylko ci wspomniałam, że Carrie umówiła się na kolację z doktorem Beldonem, nagle zmieniłeś zdanie i powiedziałeś, że umierasz z głodu i po prostu musisz tutaj wpaść i zamówić sobie befszytk z polędwicy, który tak świetnie tu przyrządzają?

- No cóż... - odchrząknął Ryan, któremu kolejne kłamstwo stanęło w gardle. Zaraz jednak uśmiechnął się do niej blado i mruknął:

- Czasami każdy ma ochotę na coś dobrego...

- Nno tak - przyznała z wahaniem Stephanie. Jakoś trudno jej było uwierzyć, że Ry zaprosił ją tutaj akurat dlatego, że miał chętkę na dobry befszytk.

Jednak na szczęście dla niego, zanim mogła rozwi-

nać ten temat, podszedł do nich kierownik sali i zaprowadził ich do nakrytego śnieżnobiałym lnianym obrusem stolika, na którym stały już kieliszki z delikatnego, austriackiego kryształu i płonęły ciemnowiśniowe, wysokie świece. Nad nimi wisiał w ozdobnej, złoconej ramie zachwycający olejny obraz, przedstawiający ukwiecony zaułek w Prowansji. Stylowe mosiężne kinkiety uzupełniały dyskretne oświetlenie tej niewielkiej restauracji.

W chwili gdy Ry ujrzał Carrie i Beldona, którzy siedzieli przy odosobnionym, narożnym stoliku, całe to gustownie urządzone wnętrze przesłoniła mu mgiełka.

Przed sobą widział tylko Carrie.

W zabójczej sukience, która nieomal rzuciła go na kolana.

W jej oczach i rudych włosach tańczyły ogniki, rzucane przez płomienie świec. Ry poczuł, jak robi mu się gorąco. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Zawsze uważał, że Carrie jest bardzo ładna, ale starał się nigdy nie przyznać przed samym sobą, że jest też bardzo seksowna. Jednak tego wieczoru było to ponad jego siły. Wyglądała wprost rewelacyjnie. A Beldon wybałuszał na nią oczy, tak jakby chciał ją żywcem pożreć.

Widząc to, Ryan powziął mocne postanowienie, że nie pozwoli temu bubkowi położyć na niej swojej pasudnej łapy. Carrie nie jest wprawdzie jego dziew-

czyną. I nigdy nie będzie, ale on czuje się za nią odpowiedzialny. Przecież obiecał Travowi...

Do tej chwili odgrywał, choć niechętnie, rolę jej anioła stróża. I powtarzał sobie, że Beldon jest nieszkodliwy. Ale dziś w jego oczach dostrzegł niebezpieczny błysk. Taki, jaki mają drapieżniki, zasadzające się na ofiarę. I tą ofiarą miała być niewinna Carrie...

Ry był może kanalią, ale przyświecał mu szlachetny cel.

Bez chwili wahania ruszył najkrótszą drogą wprost do ich stolika, prowadząc przed sobą Stephanie.

- Co za miła niespodzianka, kogo ja tu widzę? - odezwał się, udając zaskoczenie.

- Co ty właściwie kombinujesz, Ryan? - szepnęła Stephanie, odwracając do niego głowę.

- Nic takiego, Steph, po prostu chcę się z nimi grzecznie przywitać.

Carrie nie była pewna, jak to się stało, ale była świadoma obecności Ryana, zanim jeszcze usłyszała jego głos. I kiedy jego głęboki baryton wdarł się w stworzoną przez Nathana atmosferę erotycznej intymności, po plecach przeszedł jej dreszcz.

- Popatrz tylko, Steph. Czy oni do siebie nie pasują? Moim zdaniem świetnie razem wyglądają.

O nie, tylko nie to, pomyślała ze skurczem serca Carrie. To niemożliwe, żeby Ry znów przeszkodził jej w randce z Nathanem. To chyba jakiś zły sen.

Przymknęła oczy, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i upewnić, że kiedy je otworzy, Ryana już przy niej nie będzie, że jego głos był tylko wytworem jej wyobraźni i że zobaczy tylko naprzeciw siebie uśmiechniętą twarz Nathana, dbającego, by mile spędziła z nim ten wieczór.

Jednak twarz Nathana, która przybrała kolor czerwonego wina w ich kieliszkach, nie była bynajmniej uśmiechnięta. Usta miał mocno zaciśnięte, a na czole pulsowała mu wypukła niebieska żyłka.

Carrie serce zamarło na ten widok, a gniew przesłonił czerwoną mgłą oczy.

- Nie do wiary, jakie mam szczęście! - wykrzyknął Ry takim tonem, jakby znalazł tysiąc dolarów. - Co za zbieg okoliczności, żebym wpadał na was dwa wieczory z rzędu!

Carrie mruknęła coś mało pochlebnego pod adresem Ryana, który stanął przy jej stoliku z kretyńskim uśmiechem, i spiorunowała go wzrokiem.

Stephanie stała tuż obok z wyrazem zażenowania na twarzy, nie wiedząc, co powiedzieć w tej kłopotliwej sytuacji.

- Gdybyśmy się was spodziewali, zamówilibyśmy większy stół - odezwał się Nathan ugrzecznionym tonem. - Jaka szkoda, że nie możecie się do nas przyłączyć.

Carrie w duchu mu przyklasnęła i poczuła się z niego dumna. Ma facet refleks i potrafi z klasą za-

reagować. Ale niedługo cieszyła się swoim triumfem. Powinna była wiedzieć, że Ryan uda głupka, biorącego jego słowa za dobrą monetę.

- Słyszałaś, Steph? On chce, żebyśmy się do nich przysiedli. A nie mówiłem ci, że to równy gość? Robertcie - zwrócił się Ryan do przechodzącego obok nich kelnera. - Przynieś tu jeszcze dwa krzesła i dodaj dwa nakrycia, okej? Doktor właśnie zaprosił nas na kolację. Ale ja płacę. Tak, tak, nalegam - dodał. - Nawet nie próbujcie protestować..

Carrie siedziała w milczeniu, przyglądając się, jak Ryan sadowi się wygodnie przy stoliku i z wdziękiem zaklinacza węzów przedstawia Nathanowi Stephanie. Teraz będzie go musiała zamordować. Z zimną krwią. Inaczej nie mogłaby sobie spojrzeć w twarz. Musi tylko się zdecydować, jak to przeprowadzić.

- Do trzech razy sztuka - oświadczył Nathan, kiedy kilka dni potem siedzieli na kocu w miejskim parku. - Nie ma mowy, żeby Evans nas tu dopadł - dodał z kwaśną miną.

Siedzieli z dala od ludzi, nad samym jeziorem, i chociaż wieczór był chłodny, jeszcze lutowy, Carrie było ciepło na sercu, kiedy myślała o tym, jak bardzo Nathan okazał się troskliwy i wytrwały, że wciąż chce się z nią umawiać, mimo tych niby przypadkowych spotkań z Ryanem, który wciąż nękał ich swoją obecnością.

Nie nawykła do tego, by mężczyzna okazywał jej tyle uwagi co Nathan. Po owym nieszczęsnym wieczorze w restauracji „U Klary”, który wcześniej się zakończył, kiedy Nathana wezwano przez komórkę w nagłym przypadku do szpitala, dzwonił do niej uporczywie.

Telefował właściwie codziennie, wypytywał o to, co porabia, i o jej pracę, opowiadał trochę o sobie. Prawił jej wiele miłych słów, okazywał zainteresowanie i męski podziw. Jego telefony były romantyczne i pochlebiali jej. Carrie szczerze pragnęła uwierzyć, że będzie mogła z Nathanem związać swoją przyszłość. Pod warunkiem, że Ry przestanie im wciąż przeszkadzać, kiedy tylko oboje znajdą trochę czasu, żeby się spotkać i do siebie zbliżyć.

Tym razem mu się wywinęli, pomyślała z satysfakcją. Nie ma mowy, żeby mógł ich tu nakryć. Ten wieczór, ta noc, należą do nich. Szampan wyraźnie ją ośmielił. Tak, zabierze Nathana do siebie do domu i - o rety... - do łóżka.

- Przykre mi z powodu Ryana - odezwała się, potrząsając głową. - Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, jakim sposobem on wciąż nagle przy nas wyrasta, jak spod ziemi.

Nathan sięgnął po butelkę szampana i napełnił jej kieliszek.

- To chyba jasne, on jest o mnie zazdrosny. Carrie parsknęła śmiechem i powiedziała:

- Zazdrosny? Ryan? Ależ skąd. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Myślę, że można to raczej tłumaczyć kompleksem starszego brata.

- Starszego brata?

Carrie opowiedziała mu o śmierci swoich rodziców i o tym, jak rodzice Ryana przygarnęli ją i jej brata do siebie, i jak Ryan usiłował jej zastąpić Trávisa, kiedy ten wstąpił do piechoty morskiej.

- Musiał to być dla ciebie bardzo trudny okres - powiedział Nathan, obejmując ją za ramiona i z troską zaglądając w oczy.

Carrie poczuła, jak łzy zakręciły się jej w oczach. Z trudem je powstrzymała, mrugając powiekami. Pomogła jej w tym serdeczność, jaką okazywał jej Nathan.

- Cieszę się że tu jesteście - odezwała się, kiedy objął ją jeszcze mocniej.

- I nareszcie sami - uśmiechnął się do niej Nathan.

Tak. Nareszcie sami. Taka romantyczna randka. Piknik o zmierzchu w parku, czy można sobie wyobrazić coś bardziej romantycznego? Mimo chłodu, Carrie była zachwycona tym miejscem. Walentyńko wy pomysł Nathana sprawił jej ogromną przyjemność. Spokojne, błękitne jezioro, okalające je drzewa, świeże powietrze i spokój. Z dala od zgiełku, pośpiechu, obowiązków. Wszystko to bardzo ją cieszyło.

Podobnie, jak miły, czuły uśmiech Nathana, a także pyszności - jak kawior, krakersy, winogrona i ser brie - które sam kupił i zapakował do koszyka.

Wszystko było wprost idealne. Szampan ją rozgrzał i odprężył, podobnie jak komplementy Nathana.

W chwili gdy nad jeziorem przefruwało stadko kósów, Nathan zapytał:

- Czy mogę cię pocałować, Carrie?

Carrie bez chwili wahania uniosła ku niemu twarz, uśmiechnęła się zapraszająco... i czekała, aż żywiej zabije jej serce, kiedy on zbliży usta do jej ust.

I tak czekała i czekała, a on tymczasem zaczął ją całować, zrazu delikatnie, trochę nieśmiało, a potem coraz bardziej natarczywie. Carrie starała się wzbudzić w sobie podobny entuzjizm. Tak, jest całkiem miło, pomyślała. Dosyć przyjemnie. Ale gdzie te spodziewane fajerwerki uczuć? Gdzie burza namiętności?

A może to ona wyszła z wprawy. Tak dawno z nikim się nie całowała. Bardzo dawno. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego włosów i lekko się do niego przysunęła, podczas gdy on objął ją jeszcze mocniej.

Zamknęła oczy i rozluźniła się, kiedy Nathan położył ją na kocu i pogłębił pocałunek, który trwał i trwał... ale pozostawiał ją chłodną i obojętną.

Carrie poczuła się oszukana. Gdzie to pełne emocji oczekiwanie dalszego ciągu? Nieprzeparte pragnienie bliskości? Intymności? Spełnienia?

- Pozwól, że wstąpimy teraz do ciebie - mruknął Nathan, całując ją w policzek, a potem w szyję.

Carrie zadrżała. Nie z pożądania jednak, wręcz przeciwnie. Chyba coś jest z nią nie w porządku. Prze-

cież tego pragnęła. Naprawdę bardzo pragnęła, jednak teraz, kiedy Nathan zbliżył dłoń do jej piersi, pochwyciła jego palce i powstrzymała go.

Usiadła nagle, zmagając się z ogarniającą ją falą lęku.

- Nathan, wiesz... ja...

Czuła się bardzo zażenowana. Powolutku podniosła wzrok, by mu spojrzeć w oczy i, ku swemu zdumieniu, ujrzała w nich błysk wściekłości, który ją przeraził.

Jednak w następnym momencie na twarzy Nathana wykwitł uśmiech, a z oczu zniknął gniew, tak że Carrie zaczęła się zastanawiać, czy nie był on wytworem jej wyobraźni.

- Może za bardzo się spieszę? - zapytał łagodnym głosem.

Tak łagodnym, że Carrie poczuła się jak ostatnia idiotka.

- Nie - odparła, i przysunęła się do niego. - Po prostu jestem... troszkę... mało doświadczona - wyznała i zaraz pomyślała, że z pewnością właśnie dlatego wciąż nic do niego nie czuje. - Chcę, żebyś mi pomógł - dodała, zdobywając się na śmiałość, która ją samą zdumiała.

Nathan, któremu oczy rozbłysły, gdy to usłyszał, znów się nad nią pochylił, żeby ją pocałować, wtem jednak wyskoczył na nich z lasu olbrzymi pies i, wydając z siebie głębokie warknięcie, skoczył Nathanowi na piersi.

- Co to za cholera... - wybełkotał Nathan, gdy kud-

łaty potwór powalił go na plecy i nie pozwalał wstać, zagrażając gardłu odsłoniętymi kłami.

Po chwili jednak stracił zainteresowanie swoją ofiarą, przewrócił butelkę szampana, który rozlał się na koc i rzucił się żarłocznie na krakersy i ser, tylnymi łapami rozgniatając winogrona i wcierając resztki kawioru w nogawki spodni Nathana.

- O mój Boże - jęknęła Carrie na widok pobojo-wiska, które powstało za przyczyną koszmarne-go psiska. - O mój Boże - powtórzyła głośniej, kiedy wreszcie poznała tego zwierzaka, dorodnego nowofundlandczyka. Była pewna, że jego właściciel jest gdzieś w pobliżu.

I rzeczywiście, zza drzew wyłonił się zaraz Ryan Evans, który podbiegł do nich ze zmarszczoną brwią i zatroskanym wyrazem twarzy.

- Nie wierzę własnym oczom - zawołała Carrie, widząc, jak Ry potrząsa trzymaną w rękę pustą obrożą ze smyczą.

Skonsternowany, przystanął koło nich, nie mogąc złapać tchu, tak jakby z całych sił gonił przed chwilą swego psa, i rzucił jej bezradne spojrzenie.

- Ja też. Ten czort wyslizgnął mi się z obroży. Sam nie wiem, jak on to zrobił.

Tak, na pewno, pomyślała z sarkazmem Carrie. Jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności w to pocziwe z natury psisko, normalnie dość ociężałe, wstąpił widać diabeł i zaczęło ciągnąć tak niemiłosiernie, że aż się zerwało ze smyczy.

Z ledwie powstrzymaną furią Carrie zwróciła się do Ryana i zażądała:

- Natychmiast zabierz stąd Shamu, tego twojego potwora ludojada!

Ry niezbyt ochoczo zaczął przywoływać rozbrykanego zwierzaka, który znów zajął się Nathanem, liżąc go z lubością po twarzy.

Carrie była tak wściekła, że świat jawił się jej na czerwono. Docierały do niej z trudem urywki słów Ryana, który udawał, że jest mu bardzo przykro i wylewnie przeproszał Nathana.

- Nelson, proszę cię, pozwól, że ci pomogę. Naprawdę ogromnie żałuję tego, co się stało. I przeproszam za cały bałagan. Sam nie wiem, jak do tego doszło. Shamu to zwykle wcielenie dobroci. Coś w niego wstąpiło. Ach, to naprawdę okropne, świetnie cię rozumiem. Wiesz co, Nelson, boję się, czy z tego kawioru nie będzie plama, tak, wątpię czy zejdzie... Słuchaj, stary, spójrz, masz zupełnie mokre spodnie. Na twoim miejscu pojechałbym od razu do domu i przebrał się w suche ciuchy, inaczej przeziębienie gotowe. A o tej porze roku łatwo o zapalenie płuc.

Z trudem podnosząc się z koca, Nathan rzucił Ryanowi jadowite spojrzenie, ze złością popatrzał na Carrie, zwinął koc, zabrał koszyk, po czym, z wściekłą miną, bez słowa oddalił się na parking do swojego samochodu.

Carrie stała tymczasem w milczeniu, upokorzona,

przyglądając się spod oka, jak Shamu pochłania ostatnie okruszki krakersów i sera, podczas gdy Ryan próbuje nałożyć mu obrozę.

- Dobrze się czujesz? - zagadnął ją niewinnie.

Carrie odprowadziła wzrokiem odjeżdżający samochód Nathana, po czym z wolna zwróciła się do tego nieznośnego faceta, który po raz kolejny zepsuł jej randkę, nasyłając na nich swego czworonożnego współnika.

- Czy ja wyglądam tak, jakbym się dobrze czuła?

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ry pomyślał, że Carrie wygląda tak, jakby go miała zamordować.

Nie bał się.

No, w każdym razie nie za bardzo.

Przeciwnie, był z siebie bardzo zadowolony. Żałował wprawdzie, że nie dotarł tu wcześniej, zanim ten padalec zdążył położyć na Carrie swoje brudne łapy i ośmielił się ją całować. Trochę za późno ich odnalazł, uwolnił Shamu i z satysfakcją w głosie rzucił mu rozkaz:

- Zabij go!

Naturalnie, pocziwiec Shamu nie skrzywdziłby muchy, więc Beldonowi z pewnością nie groziło niebezpieczeństwo, ale ponieważ kudłata bestia była wielkim łakomczuchem, Ry miał nadzieję, że narobi niezłego bałaganu na pikniku. Jego plan nie zawiódł. Jednego tylko nie przewidział. Liczył się z tym, że Carrie będzie wściekła, ale nie przypuszczał, że ujrzy w jej oczach tyle smutku. Zrobiło mu się ogromnie przykro, że z jego powodu mała Carrie wygląda na taką nieszczęśliwą.

Poczucie winy rychło przesłoniło triumf zwycię-

stwa. Niepewny, co dalej począć, Ryan stał chwilę w milczeniu, drapiąc się po brodzie. Nie miał pojęcia, jak rozwiązać ten dylemat. Jeśli zaproponuje Carrie, że ją odwiezie do domu, ona mu odmówi, miał to jak w banku, i powędruje taki szmat do domu pieszo. Jeśli pożegna się szybko i będzie chciał odejść, doprowadzi ją zapewne do furii, ale wtedy jest szansa, że Carrie zażąda, by ją odwiózł.

Ry wybrał to drugie rozwiązanie.

- No to... do zobaczenia - powiedział, mocno ujął smycz i zaczął odciągać od Carrie Shamu, który na wszystkie psie sposoby okazywał jej uwielbienie. - Idziemy, Shamu, już dość narozrabiałeś. - Odwrócił się i ruszył z powrotem, ale po kilku krokach powstrzymał go jej ostry głos:

- I to wszystko? Po tym, jak zrujnowałeś moje walentynki, tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Ryan zatrzymał się, odwrócił do niej i udawał, że się zastanawia.

- Niech no pomyślę. No tak. Panika. Pobojowisko. Chaos. Tak. Powiedziałbym, że moja akcja została uwieczniona powodzeniem. Pełnym powodzeniem.

- Dlaczego mi to robisz? - jęknęła Carrie, uderzając się pięściami po długich, smukłych nogach ukrytych w spłowiałych dżinsach. Dosłownie trzęsła się ze złości. Policzki miała zaróżowione z zimna i z doznanego upokorzenia, a orzechowe oczy wielkie jak talerzyki i przymglone łzami.

A niech to wszyscy diabli. Byleby tylko się nie rozpłakała. Ry nie mógłby tego znieść, gdyby teraz zaczęła płakać.

Spojrzał na nią jeszcze raz, potem spuścił wzrok i potrząsnął głową. Nie, nie jest w stanie dłużej tego ciągnąć. Musi z nią szczerze porozmawiać i wszystko jej wyjaśnić. Może jeśli uda mu się ją przekonać, że Beldon to kawał drania - chociaż Ry nie miał co do tego absolutnej pewności, a jedynie intuicyjne podejrzenia - wszystko jakoś się z czasem ułoży.

- Chodźmy, misiaczku - odezwał się łagodnym głosem. - Zabiorę cię do domu. Pogadamy.

Carrie najpierw obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, potem jednak westchnęła na znak, że się poddaje i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę jego samochodu, który stał na parkingu nieopodal. Bez słowa szarpnęła drzwiczki od strony pasażera i wsiadła.

Czekała na Ryana z rękami skrzyżowanymi na piersi, podczas gdy on wpuścił Shamu na tylne siedzenie, a sam usadowił się za kierownicą.

Siedział tak przez chwilę, zastanawiając się, jak przerwać pełne napięcia milczenie. Pierwsza odezwała się jednak Carrie i powiedziała bardzo cicho:

- Opuść sobie, kowboju. Po prostu włącz silnik. Odwieź mnie do domu.

Ryan znał ją na tyle dobrze, żeby właściwie odczytać jej słowa. I zagrożenie, które z sobą niosły. Widział ją nieraz w akcji. Jak na dziewczynę, miała całkiem

niezły prawy sierpowy. Ry był świadkiem, jak, będąc jeszcze podlotkiem, użyła go parę razy, kiedy żarty Trava za bardzo jej dokuczyły.

W tej chwili było oczywiste, że burza wzbiera w niej nie na żarty. I że lada chwila wybuchnie. W swojej furii Carrie była podobna do dzikiego mustanga, który kiedyś, podczas rodeo, nieomal wdeptał Ryana w ziemię, jakby ten był mokrą szmatą. Ry przeżył i dalej występował w pokazach, ale ten incydent o mały włos nie zakończył się dla niego tragicznie.

Doszedł do wniosku, że mądrzej będzie się poddać, przekręcił kluczyk w stacyjce i bez słowa posłusznie ruszył w stronę jej domu.

- Wejź! - rzuciła bezceremonialnie Carrie, kiedy w kwadrans potem Ry zatrzymał na podjeździe samochód.

- Tak jest, proszę pani - odparł potulnie, polecił Shamu, żeby grzecznie na niego poczekał i podążył za Carrie do wejścia.

Carrie czuła na sobie jego wzrok i miała nadzieję, że ten widok jest dla niego przyjemny, bo nieprędko będzie miał okazję znów go podziwiać.

Otworzyła drzwi i ruchem ręki wskazała mu, by wszedł do środka. Posłuszny jak trusieńki, Ry minął ją i stanął niepewnie pośrodku salonu. Rzucając okiem na jego wysoką, smukłą sylwetkę Carrie pomyślała, że w swoim kowbojskim kapeluszu i dżinsach wyglą-

da jak żywa reklama rodeo albo wranglerów, albo teksańskiej turystyki.

Niech go licho porwie za to, że jest taki diabelnie przystojny, taki bystry i podobno tak dobrze sobie radzi w różnych tajnych misjach podejmowanych przez jego klub.

Nie miała pojęcia, jakiej misji podjął się teraz, ale powzięła mocne postanowienie, że szybko się dowie, co jest grane. I że kiedy się wreszcie do niego odezwie, jej słowa zabrzmiały spokojnie, stanowczo i logicznie.

- Mam tego powyżej uszu - oznajmiła twardym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Mam dość twojego wtrącania się w moje życie. Twoich wygłupów. Upokarzania mnie.

Kiedy Ry otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ona powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie chcę tego słyszeć. Ry przezornie zmilczał.

- Nie chcę słuchać tego, co mi chcesz powiedzieć, bo w całym Teksasie nie ma wytłumaczenia dość przekonującego, żeby usprawiedliwić twoje postępowanie. A teraz posłuchaj mnie dobrze, Ryan - dodała, podchodząc do niego i patrząc mu twardo w oczy. - Dość tych głupkowatych uśmiechów, dość odgrywania roli anioła stróża, dość zrywania moich randek z Nathanem Beldonem. Jestem już dużą dziewczynką i potrafię sama o siebie zadbać. Posłuchaj mnie dobrze, Ryan - ciągnęła dalej, nie spuszczając z niego wzroku. - Po-

dejrzwam, że to Trav cię na mnie napuścił. Wiem, że zawsze byłeś wobec niego lojalny, co oczywiście bardzo ci się chwali, ale Bóg mi świadkiem, że jeśli natychmiast się ode mnie nie odczepisz, to już nigdy się do ciebie nie odezwę. Trav też jest na mojej czarnej liście, możesz mu to ode mnie przekazać.

- Carrie...

- Nie udzieliłam ci jeszcze głosu, więc milcz. Teraz ja mówię. Ty tylko słuchasz. Chcę wiedzieć, czy zrozumiałeś, co do ciebie powiedziałam. Wystarczy, że kiwniesz głową.

Ryan zaciął usta, naciągnął głębiej na czoło kapełusz i wziął głęboki oddech.

- Więc jak? Ro-zu-miesz? - wycodziła Carrie.

- O tak, proszę pani - odrzekł Ry, w którego głosie bez zdziwienia posłyszala nutkę irytacji. Świetnie, pomyślała. Sam jest sobie winien. Teraz łatwiej jej przyjdzie iść dalej na całego, nie spuszczając z tonu.

- Chcę usłyszeć: „Tak, proszę pani. Rozumiem, że mam nie wtrącać się do pani życia, bo to nie moja sprawa, z kim się pani widuje i co pani robi”.

Ry spiorunował ją wzrokiem i powiedział:

- Już ci to raz powiedziałem. Nic się tymczasem nie zmieniło. Twoje życie zawsze będzie moją sprawą.

Carrie postanowiła zignorować jego słowa i ciągnęła dalej:

- Chcę to usłyszeć, Ry. Obiecuj mi, że kiedy zo-

baczysz mnie znów z Nathanem Beldonem, nie zbliżysz się do nas bardziej niż na sto metrów. Jeśli w ogóle jeszcze mnie z nim zobaczysz - dodała z żalem w sercu. W końcu ile takich upokorzeń może znieść mężczyzna, zanim się wreszcie na dobre nie podda i nie spakuje manatków... Nathan z pewnością doszedł już do kresu wytrzymałości.

- Carrie, on nie jest dla ciebie.

- Nie ty będziesz o tym decydował - zawołała, pieniając się z oburzenia. - Dlaczego nie zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

W jej oczach dostrzegł łzy, kiedy opuściła bezradnie ręce i odezwała się cicho:

- Ry, przecież ty sam mnie nie chcesz... więc dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

O, mój Boże.

Dobry Boże. Czy to możliwe, że ona to powiedziała. Ty sam mnie nie chcesz... Zawstydzona, odwróciła się do niego plecami.

O rety, pomyślał Ry z bólem w sercu na widok jej zwieszonych smutno ramion.

On jej nie chce? Z trudem stłumił jęk. Jakże to możliwe...

Wystarczy na nią spojrzeć. Piękna, inteligentna, dobra, troszcząca się o innych. A teraz biedna cała drży, zagniewana i zraniona, i to wszystko przez niego. Tak, on jej pragnie, i to z całej duszy, z całego serca. Pragnie jej jako kobiety.

Delikatnie objął ją za ramiona i obrócił ku sobie. Natychmiast poczuł, jak to pragnienie zaczęło burzyć w nim krew.

Jaki mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógłby jej nie pragnąć? Jaki mężczyzna z krwi i kości nie chciałby jej wziąć w ramiona i scałować wszystkich łez, które potoczyły się jej po policzkach?

Poczuł, że nie jest w stanie dłużej nad sobą panować. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że jej pełne, jędrne piersi oparły się o jego pierś.

Gdy spojrzał jej w oczy, spostrzegł, że lśnią nie tylko od wezbranych łez, ale także ze zdumienia i oczekiwania. I wtedy wiedział, że jest już po nim.

Nie było na świecie takiej siły, która mogłaby go powstrzymać. Opuścił głowę, dotknął ustami jej warg i cały się zatracił w jej westchnieniu.

Źle robisz, źle, źle. Te słowa pobrzmiewały mu w głowie, ale ustąpiły wreszcie pod naporem uczucia, które kazało mu całować ją z takim przejęciem i uczuciem szczęścia, jakby otwarły się przed nim wrota raju.

Słodka. O, jaka słodka. I jaka seksowna, jaka namiętna, kiedy tak przyłgnęła do niego całym ciałem. Powinien natychmiast przestać, odsunąć się od niej. Ale nie potrafił.

Po prostu nie potrafił.

Cudowna Carrie. Uwielbiał w niej wszystko, wszystko w niej go fascynowało. Była zarazem zmysłowa

i nieśmiała, swawolna i niepewna, i Ry zapragnął jej tak bardzo, tak jak nigdy nikogo dotąd.

Porwał ją na ręce i położył na kanapie.

Szaleństwo. Absolutne szaleństwo. Nie wolno mu do tego dopuścić.

Zaraz przestanie, odsunie się od niej. Da jej spokój.

Tylko jeszcze chwilkę na nią popatrzy, na jej różowe, pięknie wykrojone, rozchylone usta, na trzepocące rzęsy, lśniące oczy.

Tak, natychmiast musi przestać się w nią wpatrywać, inaczej oszaleje z tego pragnienia. Nieodpartego pragnienia całowania jej teraz, i za chwilę, i potem, i zawsze. Rozebrania jej, poczucia jej oddechu, bliskości jej nagiego ciała...

I w tym momencie posłyszał jej cichy szept:

- Ry, kochaj mnie...

Czyżby to ona?

Tak, to ona. Więc kto?

Carrie - mała siostrzyczka Trávisa.

Carrie, która jest jeszcze dziewicą.

Ta prawda podziałała na niego tak, jakby mu ktoś wylał wiadro zimnej wody na głowę. To się nie może stać.

Bardzo ostrożnie i delikatnie zmusił się, by rozluźnić uścisk, po czym opuścił ręce i postąpił krok do tyłu.

Obwiniając się o brak panowania nad sobą, spojrzął w jej szkliste oczy i próbował znaleźć słowa, które mogłyby wszystko naprawić.

Ale nie było takich słów. Jego zachowanie było niewybaczalne. To, czego on pragnął, nie było tym, czego ona potrzebowała.

Zły na siebie, a także trochę na nią, że nie miała dość instynktu samozachowawczego, by bronić się przed takim drapieżcą jak Beldon, Ryan wpadł wreszcie na pomysł, jak się powinien teraz zachować.

Może ten sposób nie będzie elegancki. Ani przyjemny. Ale będzie za to skuteczny. I absolutnie konieczny.

Carrie podniosła się z kanapy i lekko zachwiała na nogach, tak że musiał ją delikatnie podtrzymać.

A więc to tak.

Wreszcie się dowiedziała, na czym polega całe to damsko-męskie zamieszanie, o którym tyle słyszała, ale którego dotychczas sama nie doświadczyła.

Jest to więc na początek uczucie pewnego zagubienia, a potem odnalezienia, odkrycie po raz pierwszy w życiu, że można być tak słabą. A zarazem pragnienie tak silne, że napinają się, a jednocześnie mdleją wszystkie mięśnie. Bezradna tęsknota, nieskończona potrzeba... to wszystko, czego się spodziewała po zbliżeniu z Nathanem.

To wszystko, co -jak zawsze miała nadzieję- znajdzie w ramionach Ryana.

Kochaj mnie...

Wypowiedziała te słowa spontanicznie, zanim zdążyła pomyśleć.

A potem poczuła, jak on się od niej odsuwa.

A teraz patrzył na nią gniewnie... niczym złowrogi niedźwiedź grizzly. Jak ktoś, kto nie tylko jej nie chce, ale nawet jej nie lubi.

Jego namiętny pocałunek przerodził się nagle w gniew. Carrie nie potrafiła tego pojąć.

- Ry?

- Więc... widzisz teraz, jak to może być, kiedy przestaniesz się zachowywać jak grzeczna dziewczynka?

Carrie zamrugła powiekami, chcąc rozproszyć mgiełkę, która przesłaniała jej obraz rzeczywistości. Przed chwilą było jej gorąco, zaraz jednak poczuła, jak ogarnia ją przejmujący chłód. Zadrżała z zimna i mocno objęła się ramionami.

- Grzeczna dziewczynka? O czym ty mówisz? - zapytała, czując, że znowu wzbiera w niej gniew.

Ry popatrzał na nią surowo i rzekł beznamiętnym tonem:

- Właśnie dałem ci lekcję, mała dziewczynko... Mam nadzieję, że ją sobie zapamiętasz.

- Lekcję? Co ty opowiadasz? Nic z tego nie rozumiem.

- Dałem ci przykład tego, co się dzieje, kiedy kobieta bez umiaru prowokuje mężczyznę.

Ry strząsnął z rona kapelusza wyimaginowany pyłek i spuściwszy wzrok, ciągnął dalej:

- Widziałem, jak w parku pozwoliłaś się Beldonowi całować. Jak mu pozwoliłaś się dotykać.

Carrie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Otwierała usta, to znów je zamykała, aż wreszcie odnalazła głos i zapytała:

- Co Nathan ma wspólnego z tym, co się przed chwilą wydarzyło między tobą a mną?

Ry potrząsnął głową i uśmiechnął się do niej do-
brotliwie.

- Kochanie, właśnie usiłuję ci to wyjaśnić - odparł aksamitnym głosem. - Nic się między tobą i mną nie wydarzyło, była to tylko mała lekcja na temat dojrza-
łego zachowania.

Carrie poczuła się tak, jakby weszła do kina w
środku projekcji -jakiegoś horroru albo zagranicznego
filmu - z francuskimi lub niemieckimi napisami.

- Dojrzałego zachowania? - zdumiała się.

- Dokładnie tak. Złotko, właśnie cię nauczyłem, że
gdyby Beldon znalazł się tutaj zamiast mnie - mnie,
który się o ciebie troszczy i któremu na tobie zależy -
byłabyś już kobietą skompromitowaną.

Carrie puściła w ruch szare komórki. A więc on ca-
łował ją nie dlatego, że miał na to ochotę i że jej pra-
gnął, ale dlatego że jego zdaniem ona potrzebowała
obrony przed samą sobą w podobnych sytuacjach, gdy
w grę wchodził seks. Ry uważał, że powinien skory-
gować jej niewłaściwe postępowanie. Całował ją tylko
dlatego, że w jego mniemaniu zachowywała się nie-
odpowiednio na pikniku z Nathanem. I uważał, że

gdyby nie jego interwencja, Carrie mogła zostać, Boże broń, skompromitowana.

Ból upokorzenia nagle ustąpił i Carrie roześmiała się z niedowierzaniem.

- Skompromitowana? Czy tego słowa naprawdę użyłeś? Z jakiej to wiktoriańskiej powieści je wyjąłeś?

- Beldon z pewnością posunąłby się dalej - powiedział Ry, grożąc jej palcem. - Jeśli masz choć odrobinę oleju w głowie, zastanowisz się dwa razy, zanim...

- Zanim co? - przerwała mu gniewnie. - Zanim rzucę się do nóg jakiegoś mężczyźnie i będę go błagała, by mnie pozbawił dziewictwa?

Zrozpaczona, z trudem chwyciła oddech. Pokręciła głową, przeczesała palcami włosy. Żałosne z niej stworzenie. Jak mogła pomyśleć, że Ry całował ją dlatego, że jej pragnął, że jest w niej tak bardzo zakochany, jak ona w nim?

No cóż. W jednej kwestii miał rację. Carrie z pewnością dostała cenną nauzkę. Odtąd musi słuchać przede wszystkim rozsądku, a nie serca. A rozsądek podpowiadał jej już dawno, że powinna dać sobie spokój z Ryanem. Tylko że jej serce nie potrafiło się podporządkować rozsądkowi.

Ale od tej chwili już potrafiło... dotkliwie zranione i krwawiące. Więcej upokorzeń już od Ryana nie znie- sie.

- Wyjdź! - rozkazała ostrym tonem, na miękkich nogach przeszła przez hol i otworzyła drzwi.

- No, misiaczku - próbował ją zmitygować protekcjonalnym tonem. - Przestań się dąsać. Sama wiesz, że robię to wszystko dla twojego dobra.

- Oczywiście - powiedziała z jadem w głosie. - Wiem i ogromnie ci jestem wdzięczna za to, że wiesz, co jest dla mnie dobre. A teraz spadaj, nie chcę cię tu więcej wiedzieć - wycedziła i gdy był już na progu, z trzaskiem zamknęła za nim drzwi.

Ryan zwiesił głowę, zamknął oczy, przyłożył pięść do drzwi i... niewiele brakowało, a byłby ją błagał, żeby go wpuściła do środka.

Bardzo pragnął ją do siebie przytulić... wyznać jej całą prawdę. Że za nią szaleje. Że nie miał najmniejszego zamiaru jej skrzywdzić, ale stracił kompletnie głowę, a potem w idiotyczny sposób usiłował naprawić swój błąd.

- Shamu, ty z pewnością lepiej byś sobie poradził na moim miejscu, prawda, piesku? - odezwał się do swego ulubieńca, który spojrzał na niego oczami pełnymi wyrzutu, gdy tylko Ryan wszedł do samochodu.

Jak to było naprawdę z tym pocałunkiem? - zapytał samego siebie, sadowiąc się za kierownicą. Prawda wyglądała tak, że w chwili gdy dotknął wargami jej ust, przestał o niej myśleć jak o małym misiaczku. W jego ramionach Carrie stała się kobietą. Kobieta, której reakcja niespodziewanie go podnieciła. To podniecenie jeszcze go nie opuściło. Niech to wszyscy diabli...

Oparł ręce o kierownicę, żeby je uspokoić, i oddał się rozmyślaniom. Wciąż się zastanawiał, co by było, gdyby było. Co by było, gdyby się z nią kochał? Gdyby nie była siostrą Trava? Gdyby z tego powodu, a także z wielu innych, nie była dla niego owocem zakazanym?

Ry czuł się paskudnie, kiedy ruszał powoli spod jej domu. Niech diabli porwą Trava, który go wpakował w tę sytuację. Niech diabli porwą Beldona za to, że ośmielił się podrywać Carrie. I niech diabli porwą te bezsenne noce, kiedy Ryana dręczył niepokój, że jakiś mężczyzna, a nie on sam, może kochać się z Carrie po raz pierwszy w jej życiu. A także potem.

Na samą myśl o tym dłoń zwiłała mu się w pięść. Wiedział, że on nie może być tym mężczyzną. Wiedział to od lat. Zdawał też sobie sprawę, że Carrie od lat się w nim podkochiwała. I właśnie ze względu na nią robił wszystko, żeby ją do siebie zniechęcić. Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że ona wreszcie z tego dzieciennego zauroczenia wyrośnie. Ale dziś okazało się, że był w błędzie.

Bębniąc palcami po kierownicy, jechał przez miasto do Klubu Ranczerów, w którego barze duże zimne piwo w zroszonym kuflu wprawdzie nie ugasi jego pragnienia, tego pragnienia, ale przynajmniej pozwoli mu zająć czymś niespokojne ręce i usta, które tak bardzo pragnęły całować tę jedną jedyną kobietę, której całować nie powinny.

Ry nigdy do końca nie zrozumiał, dlaczego Carrie uważała go za tak pociągającego. Podejrzewał, że może darzyła go podziwem za jego odwagę podczas występów w rodeo. Kobiety uwielbiają śmiazków, którzy ryzykują życie i zdrowie, starając się poskromić dzikie mustangi, Ry świetnie o tym wiedział, ale z pewnością nie uważał siebie za dobrą partię - a już na pewno nie dla Carrie. Za wysokie progi na jego nogi. Carrie zasługiwała co najmniej na księcia z bajki. Tego samego zdania był też oczywiście Travis, dla którego ukochana siostrzyczka była zawsze oczkiem w głowie.

To prawda, że finansowo Ry miał się znakomicie i dysponował pokaźnym majątkiem. Ale ani nie dziedziczył go po odległych przodkach, ani też nie zdobył sam. Jego dziadek miał szczęście dorobić się na ropie naftowej, a ojcu świetnie się powiodło w handlu nieruchomościami. Jednak majątek nie był w tym przypadku jego szczególnym atutem. Carrie nie potrzebowała jego pieniędzy, Trav w swoim czasie dopilnował, żeby nigdy w życiu na niczym jej nie zbywało.

Carrie potrzebowała mężczyzny, który by był gotów ustatkować się i założyć rodzinę. A Ry wcale tego nie pragnął, on po prostu nie nadawał się do zamieszkania z jakąś kobietą, nawet z Carrie, we wspólnym domu, do życia w rodzinie, chowania dzieci i do wspólnych śniadań.

Tak mu się przynajmniej zdawało. Jego zdaniem, znamienny był już sam fakt, że nigdy nie związał się

z żadną kobietą na tyle długo, by się móc przekonać, czy czułby się na swoim miejscu w ognisku rodzinnym. Poza tym, gdyby naprawdę szukał stałego związku, z pewnością już by go znalazł. Nurtowało go pytanie, czy potrafiłby czuć się odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale także za drugą osobę, nie wspominając o dzieciach.

Dobrze mu się żyło w pojedynkę od czasu, kiedy jego rodzice zrezygnowali z gospodarowania na ranczu i przenieśli się do Palm Beach. Był szczęśliwy, hodując bydło, jeżdżąc konno po okolicy, w których to eskapadach towarzyszył mu zawsze Shamu, i uczestnicząc sporadycznie w tajnych misjach klubu. Lubił swoją samotność, przerywaną od czasu do czasu nocą spędzoną z atrakcyjną kobietą. Ostatnio jednak jedyną atrakcyjną kobietą, o której potrafił myśleć, była ta, która miała łzy w oczach, kiedy ją opuszczał.

Pewnie płakałaby przez niego jeszcze żałośniej i dłużej, gdyby jej teraz uległ i się z nią kochał. A tego absolutnie sobie nie życzył. Carrie zasługiwała na to, by mieć w mężczyźnie stałe oparcie, kotwicę, która zabezpieczyłaby jej przyszłość, a on... on wciąż unosił się na fali życia i płynął tam, gdzie niósł go prąd.

Ry był przekonany, że Carrie potrzebuje kogoś lepszego niż byłego gwiazdora rodeo, który, w ślad za Travisem, próbował przed laty zaciągnąć się do piechoty morskiej, ale przepadł w badaniu lekarskim z powodu licznych obrażeń, jakie odniósł podczas wy-

stepów w rodeo, gdy był jeszcze uczniem szkoły średniej.

Potrzebny jej jest facet, który by się nią opiekował i chronił ją przed kłopotami, w jakie mogłaby się wpa-
kować, gdyby ją pozostawiono samej sobie. Carrie była
bardzo odważna i samodzielna. Trochę jeszcze rozbry-
kana, jak młody źrebak. Ktoś powinien ją na przykład
chronić przed takimi facetami, jak ten Beldon.

Kolejnym argumentem był jeszcze Trav. Najlepszy
przyjaciel Ryana. Gdyby Ry zaczął kombinować z Car-
rie, z pewnością Trav zerwałby z nim tę przyjaźń. Trav
- był tego najzupełniej pewien - po pierwsze, zawsze
uważał go za przybranego brata Carrie, a po drugie, był
pewien, że jego siostra znajdzie sobie z czasem znacz-
nie lepszą partię.

Ry zatrzymał samochód na parkingu przed klubem
i wszedł do środka. Tak, duże zimne piwo z pewnością
sprawi, że przestanie myśleć o kobiecie, którą właśnie
zranił, chociaż tak bardzo jej pragnął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Carrie z dezaprobatą spojrzała w lustro. Jej opuchnięta i zaczerwieniona od płaczu twarz przedstawiała żaloszny widok. Powinna jeszcze wypisać sobie szminką na czole wielką literę P. Na znak przegranej.

Ale po chwili żal ustąpił, a na jego miejscu znowu pojawił się gniew. I mocne postanowienie: Nie będzie więcej płakać. Przecież nie jest beksą i nie pozwoli, by Ryan Evans doprowadzał ją do łez. Ani mi się waź beczeć, przykazała sobie stanowczo.

Dziś po raz ostatni wylała przez niego łzy. I nigdy więcej nie pozwoli mu wtrącać się w swoje życie, w swoje plany... jakiegokolwiek by one były.

Postanowienia z pewnością godne pochwały, ale na wspomnienie jego pocałunków wciąż jeszcze ugięły się pod nią nogi...

Przez chwilę - długą, cudowną, pełną namiętności i wewnętrznego szczęścia - Carrie sądziła, że Ry całuje ją, bo jej pragnie. Ale okazało się, że ten pocałunek był po prostu kłamstwem. Ry dawał jej tylko nauczkę, wykonując swój obowiązek, swój braterski obowiązek, i ostrzegając ją przed Nathanem Beldonem. Była na

niego zła, że ją oskarżał o prowokowanie Nathana. Zła i rozżalona.

Więc cóż z tego, że pocałunek Ryana rozniecił w niej taki ogień. Ry nie ofiarował jej niczego poza żalem. Nathan zaś... Nathan wysyłał rozmaite sygnały pozwalające się domyśleć, że może ofiarować znacznie więcej. I cokolwiek by Ry mówił czy robił, Carrie postanowiła się przekonać, co dokładnie Nathan ma jej do zaofiarowania.

Przemyśla zimną wodą oczy, poprawiła makijaż, wyszczotkowała włosy. Zrzuciła ciemnoniebieski sweter, który miała na sobie na pikniku, włożyła jedwabną czerwoną bluzkę, złapała w biegu kluczyki do samochodu i ruszyła pędem przez miasto w stronę domu, w którym mieszkał Nathan. Był jeszcze wczesny wieczór, i to wieczór walentynkowy. I Carrie nie zamierzała spędzić reszty tego wieczoru w samotności. Pojedzie do Nathana, jeszcze raz go przeprosi i zrobi wszystko, by ją zaprosił do łóżka.

Roman Birkenfeld wstał z łóżka i sięgnął po spodnie. Za nim, pośrodku pomiętej pościeli leżała w swobodnej pozie Matei. Na lewym policzku miała siniaka. Trudno, Roman nie mógł się zdobyć na to, żeby ją za to przeprosić. Przecież jej tutaj nie zapraszał. To nie jego wina, że akurat mu się nawinęła, kiedy wrócił wściekły z parku, w spodniach zmoczonych szampanem i poplamionych kawiozem.

To wina Evansa. Ten wścibski kretyn przebrał dzisiaj miarę. Słono zapłaci za to, że ośmielił się upokorzyć Romana Birkenfelda. Poczował, jak znów krew się w nim burzy ze złości na wspomnienie o tym, jak ten nierozgarnięty Teksaszczyk udaremnił jego kolejną próbę dotarcia do Natalie Perez przez znajomość z Carrie Whelan.

A już prawie ją miał. Jeszcze chwila, a zabrałaby go do siebie do domu. I właśnie wtedy musiał go zaatakować ten wstrętny, brudny kundel Evansa.

Wściekły Birkenfeld przeszedł do salonu i wystukał numer telefonu.

- Czekam na wasze sprawozdanie - warknął, kiedy po drugiej stronie odezwał się Jason Carter. - I chcę wreszcie usłyszeć coś konkretnego na temat mojej kasy.

Z rosnącą niecierpliwością czekał, aż Carter, jeden z osiłków, których wynajął, by odnaleźli jego uzyskane ze sprzedaży noworodków pieniądze, przekazuje słuchawkę Tommy'emu Stokesowi.

- Nic nowego, szefie - odezwał się ze stoickim spokojem Stokes. - Wiemy, że jeden z tych facetów z Klubu Ranczerów, który chroni Natalie Perez, zawiózł te pieniądze do Klubu, ale nie mamy jeszcze planu, jak je stamtąd wydostać.

- Jeśli nie wiecie jak, to ja wam powiem - rzucił zimno Birkenfeld, który już zaczynał tracić do nich cierpliwość. - Słyszeliście o napadach? Chyba nie jest trudno unieszkodliwić kilku nadętych kowbojów?

- Kazał pan, żebyśmy działali ostrożnie - bronił się Stokes.

- Ten czas dawno już minął, ty idioto. Potrzebuję tej forsy. I to na wczoraj. Więc ją znajdźcie i mi przywieźcie, bo inaczej marny wasz los.

Rozłączył się, zanim Stokes zdołał mu odpowiedzieć, po czym rzucił telefonem o ścianę. Niech diabli porwą Natalie Perez. Wszystko zaczęło się sypać, kiedy ta zołza zwęszyła jego proceder. A tak mu dobrze szło!

Zaczerpnął głęboko powietrza, usiłując się uspokoić. I powiedział sobie, że wciąż panuje nad sytuacją. To nie jego wina, że spóźnił się ze zwrotem pieniędzy, które był winien chłopakom w Atlantic City. Po prostu miał niefort w kasynie i tyle. Dlatego wszedł w ten interes z handlem noworodków. Musiał uregulować długi.

- Dobra, nie myśl o tym więcej - przykazał sobie głośno. - Myśl pozytywnie. Stokes i Carter dopadną wreszcie twojej kasy. - Te pół miliona dolarów upchane w torbę na pieluszki było owocem jego ciężkiej pracy. W ciągu kilku miesięcy udało mu się sprzedać kilkoro dzieci. Kiedy wreszcie odzyska swoją forszę, grunt przestanie mu się palić pod nogami... i wtedy kilka osób słono mu za wszystko zapłaci. Przede wszystkim Natalie Perez, ale ostatnio Ryan Evans błyskawicznie wysunął się na czoło listy tych, którzy mu się narazili.

Birkenfeld spacerował nerwowo po pokoju, obmyślając różne sposoby słodkiej zemsty, kiedy znienacka

odezwał się dzwonek. Był tak pogrążony w rozmyślnościach, że niewiele myśląc, podszedł do drzwi i otworzył je.

I ujrzał zatroskaną twarz Carrie Whelan.

- Nathan - odezwała się z wahaniem. - Czy mogę... czy mogę wejść?

Zanim zdążył ją powstrzymać, wyminęła go i weszła do mieszkania.

- Tak mi przykro - powiedziała stając i zaciskając ze zdenerwowania ręce. - To było okropne... co zrobił Ryan. Przyjechałam, żeby... no, żeby... ci powiedzieć, że jeśli nadal chcesz spędzić ze mną noc...

Jej głos zamarł, kiedy spojrzała niechętnie w bok i ujrzała coś, co przykuło jej uwagę, coś, co znajdowało się za jego ramieniem.

Nathan nie potrzebował się odwracać, aby wiedzieć, co - czy kogo - zobaczyła. Zerknął jednak przez ramię i, tak jak się spodziewał, ujrzał w drzwiach Marcii. Ubrana tylko w jego koszulę i przypominająca drapiezną kocicę, uśmiechała się triumfalnie.

- O, przepraszam - zachichotała cicho i zniknęła w sypialni.

Nathan westchnął głęboko i odwrócił się do Carrie, która stała jak wrośnięta w podłogę, z miną taką, jakby właśnie oberwała po głowie.

- Carrie... wszystko ci wyjaśnię- zagadał szybko Nathan, pewien, że ta łatwowierna idiotka kupi każde kłamstwo, które on naprędce wymyśli.

- To nie będzie konieczne - powiedziała sztywno Carrie i ruszyła w kierunku drzwi.

Nathan złapał ją mocno za ramię, wściekły znów na Marci i na tę głupią, sarniooką dziewczynę, którą z takim wysiłkiem i nakładem czasu usiłował uwieść.

- Błagam cię - odezwał się głosem, w którym pobrzmiwała udana rozpacz. - Pozwól mi wyjaśnić. Jest zupełnie inaczej, niż ci się wydaje.

- Zawsze jest inaczej, niż nam się wydaje - oświadczyła Carrie, dumnie unosząc brodę i zatrząskując za sobą drzwi.

Nathan kipiał ze złości na myśl o tym, jakiego znów miał pecha. Że też Carrie musiała się zjawić akurat teraz i przyłapać go na figlach z Marci. Z nabiegłymi krwią oczami ruszył do sypialni.

Carrie drżały ręce, kiedy biegła przez parking do samochodu i otwierała pilotem drzwiczki. Z trudem powstrzymując łzy upokorzenia, ruszyła z kopyta i wyjechała na Hanover Street. Jechała tak przed siebie długo, bez celu, bijąc się z myślami.

Najpierw chciała sobie wmówić, że coś się jej przywidziało, zastanawiała się nawet, czyby nie zawrócić i nie pozwolić Nathanowi się wytłumaczyć.

Potem jednak uświadomiła sobie, że niczego nie mógłby jej wytłumaczyć, choćby nie wiem jak ciągnął ją za rękę i błagał.

Bo cóż tu było do wytłumaczenia? Przecież najwy-

rażniej właśnie wstał z łóżka, w którym leżał ze swoją pielęgniarką, Mary czy jak jej tam. Wystarczyło na nią popatrzeć, żeby się domyślić, co się działo w tej sypialni.

Carrie roześmiała się histerycznie. No już, możesz mnie upokorzyć. Okłamać mnie. Oszukać mnie. Uwielbiam, jak się mną pomiata, słynę z tego, możesz ze mną zrobić wszystko.

Po chwili jednak śmiech zamarł jej na ustach i po policzkach potoczyły się gorące łzy. A niech to lichy! Znowu beczy! A przecież ona nigdy nie płacze, tak rozpaczliwie nie płakała od czasu tego okropnego wypadku, w którym zginęli jej rodzice. Teraz znów, wbrew swojej woli i rozsądkowi, zanosila się od płaczu, łzy przesłaniały jej widoczność, a gardło bolało od łkania. Poczula się podle, jakby była godną pożałowania młodą kobietą, pozbawioną kręgosłupa. Dostyc tego - przykazała sobie. Nie pozwoli się już więcej upokarzać. W życiu!

Ry ma rację. Nathan to zwykły nicpoń. Ciekawe, o co mu właściwie chodziło? Wygląda na to, że chciał ją wykorzystać.

Grzbietem dłoni otarła łzy i kilka razy głęboko odechnęła, żeby się uspokoić i zebrać myśli.

Ale dlaczego, czy też raczej do czego chciał ją wykorzystać? Jaki miał w tym cel? I dlaczego właśnie ją? Dlaczego prześladował ją taki pech, akurat wtedy, kiedy już była prawie pewna, że czeka ją romantyczna przygoda?

Nie miała przecież wygórowanych wymagań. Chciała po prostu poznać kogoś wartościowego. Kogoś, kogo mogłaby pokochać. Ułożyć sobie z nim życie. Mieć dzieci. Mieć własną rodzinę, w miejsce tej, którą straciła, będąc jeszcze małą dziewczynką.

Ale w realizacji tego pragnienia ciągle jej ktoś przeszkadzał. Najpierw brat, a teraz Ry, nie wspominając o kilku chłystkach, którzy albo brali nogi za pas, albo po prostu nie dość się starali.

Po pewnym czasie Carrie zostawiła za sobą światła miasta i pędziła przed siebie pustą szosą. Nawet nie zauważyła, kiedy przekroczyła granicę miasta. Nie zdawała sobie sprawy, że skrzyła w drogę prowadzącą do rancza Ryana. Spozrzegła się dopiero wtedy, kiedy, w parę minut potem, wjechała na podjazd i zatrzymała samochód przed domem Evansów.

Nie przyjechała tutaj umyślnie, ale widocznie podświadomość przywiodła ją teraz do jedyne go miejsca, w którym zawsze czuła się bezpiecznie. Do domu.

Tak. Wróciła do domu, pomyślała, wyłączając silnik i gasząc światła. Potem dłuższą chwilę siedziała bez ruchu za kierownicą, pozwalając, by ogarnęła ją ciemność nocy, która otuliła ją niczym ciepły, przytulny koc. Przed laty była sierotą, kiedy mama Ryana powitała ją serdecznie w swoim rozległym, wygodnym domu ozdobionym sztukaterią, z piękną, dużą werandą i mnóstwem łukowatych okien i kolumnienek. Pamiętała, jaka

była wówczas zrozpaczona. Teraz też jest zrozpaczona.

To miejsce, pełne ciepłych, miłych wspomnień, miejsce, które przed łąty stało się jej bezpieczną przystanią - przyciągało ją do siebie, tak jak rodzinny dom przyciąga wyczerpanego walką żołnierza.

Odetchnęła głęboko i oparła czoło na dłoniach, wciąż zaciśniętych kurczowo na kierownicy.

Znowu ogarnęła ją fala żalu.

Przyjechała tu, aby lizać rany, a przecież w tej chwili, w sypialni odległej o zaledwie parę okien od głównego wejścia, spał już zapewne mężczyzna, który tak boleśnie zranił jej dumę. Carrie nie mogła się dopatrzeć sensu w swoim postępowaniu.

Kompletnie wyczerpana, nie ruszała się z miejsca przez kilka minut, aż wreszcie podniosła głowę i w tym momencie zobaczyła, że na ganku rozbłysło światło.

Drzwi frontowe otworzyły się i ukazał się w nich Sha-mu. Ładny mi pies obronny, pomyślała z bladym uśmiechem Carrie, patrząc, jak pocziwe psisko ostrożnie węszy. Z pewnością liczy na to, że jego pan sam się upora z kimkolwiek, kto, ryzykując życie i zdrowie, ośmieliłby się postawić nogę na świętej ziemi Evansow.

I wtedy w drzwiach ujrzała Ryana. Był bez koszuli i boso, w samych dżinsach. Na jego widok nieposłuszne serce znów zatrzepotało. I musiała sama się przed sobą przyznać, że przywiodła ją tu nie tylko tęsknota za dawnym domem, ale także za Ryanem.

Był zdecydowanie najprzystojniejszym mężczyzną w całym Teksasie. Ciemne włosy opadały mu teraz na czoło, a brązowe oczy patrzyły na nią pytająco i troskliwie, kiedy podchodził do jej samochodu.

- Misiaczek? Co się stało, kochanie?

Carrie nie mogła nic na to poradzić. Kiedy się nad nią pochylił, łzy same znowu trysnęły jej z oczu. Gorące, ciche łzy potoczyły się po obu policzkach aż pod podbródek, niczym słony strumień, i zmoczyły bluzkę.

Opłakiwała teraz wszystko, co utraciła, kiedy zmarli jej rodzice. Wszystko, co utraciła, kiedy wreszcie przyjęła do wiadomości, że Ry jej nie kocha. Opłakiwała swoją zranioną dumę i zdradę Nathana Beldona.

Kiedy Ry otworzył drzwiczki, bez słowa pomógł jej wysiąść i wziął ją na ręce, Carrie oplotła ramionami jego ciepłą, mocną szyję i pozwoliła mu się pocieszyć, kiedy szeptał do niej:

- Sza, malutka, cicho, cicho. Nie płacz już, dziecko. Jestem przy tobie.

A ona płakała dalej i nie mogła przestać.

Ryanowi serce się krajało na widok jej bólu i rozpacz. Na dodatek podejrzewał, że to on był tego przyczyną. Carrie, jaką znał, była silna. Ta mała dziewczynka, która przed laty opłakiwała swoich rodziców, wyrosła na niezależną kobietę, która byłaby z pewnością zażenowana, gdyby ktoś zobaczył, że płacze. Uważałaby to za dowód słabości. W odróżnieniu od nie-

których znanych mu kobiet, nigdy nie uciekłyby się do łez, by manipulować mężczyzną czy przeprowadzić swoją wolę.

Krzywiąc się z bólu, gdy stapał bosymi nogami po żwirze podjazdu, Ry wniósł Carrie do domu, zaniknął nogą drzwi i skierował się ku schodom.

Wciąż trzymając ją w ramionach, usiadł na kanapie, po czym płaczącą i tulącą się do niego Carrie ułożył sobie na kolanach.

Poczucie winy z powodu sceny w jej mieszkaniu nadal nie dawało mu spokoju i kłuło w serce jak cierń.

Wchodząc do pokoju, Ry nie zdążył zapalić lampy, ale przez duże okno widokowe zaglądał księżyc w pełni, spowijając wnętrze srebrzystą poświatą, rozświetlającą delikatnie przytulny półmrok. Ry był świadom ciepłej, kobiecej bliskości ciała Carrie, ale przede wszystkim tego, jak bardzo potrzebowała teraz pocieszenia ze strony tej właśnie osoby, która doprowadziła ją do stanu, w jakim się teraz znalazła. Przyjacielskiego pocieszenia, a nie doznań erotycznych.

Serce mu krwawiło, gdy czuł drżenie jej ramion i ciepło łez, roszących mu skórę. Przygarnął ją jeszcze mocniej do siebie, przycisnął wargi do czubka jej głowy, przeczesywał palcami jej jedwabiste włosy i starał się cichym głosem ją pocieszyć.

Kiedy wreszcie podniosła głowę, oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte.

- Poczekaj chwilkę - powiedział, ostrożnie zdjął ją

z kolan, wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił, przekonał się, że Carrie, zgodnie z jego oczekiwaniem, spożytkowała ten czas, aby się pozbierać.

Podał jej szklankę wody i pudełko kolorowych chusteczek higienicznych.

- Przepraszam, że się tak rozkleiłam - powiedziała, głośno wycierając nos. - Na pewno okropnie wyglądam.

- Dla mnie nigdy nie wyglądasz okropnie, misiaczku - mruknął Ry i znów usadowił ją sobie na kolanach, a ona przytuliła się do niego jak śpiący, mały kociak, obejmując go za szyję i kładąc mu głowę pod brodę. Czuł na piersi jej ciepły oddech i dotyk chłodnych palców splecionych na swoim ramieniu.

Objął ramionami jej biodra i oparł brodę na czubku jej głowy.

- Może chcesz mi teraz dać lanie, żebyśmy już to mieli z głowy?

- Lanie? Za co?

- No, za to, że się zachowałem jak ostatni idiota.

Tak mi przykro, że przeze mnie płaczesz.

- Nie pochlebiaj sobie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Ry nie był pewien, które uczucie w nim przeważało. Ulga czy zaskoczenie.

- Czy chcesz mi opowiedzieć, co się właściwie stało?

- Po to, żebyś mi potem wypominał: „a nie mówiłem”?

W jej głosie więcej było rezygnacji niż gniewu. I w tej chwili Ry domyślił się, o kogo chodzi. Naturalnie, o Nathana Beldona.

- Co on ci zrobił? - zapytał, zmagając się z furją, jaka go zaczęła ogarniać. - Jeśli ten drań choćby dotknął cię palcem wbrew twojej woli, to osobiście dopilnuję, żeby sympatyczny doktorek w przewidywalnej przyszłości nie był w stanie wykonywać najprostszych czynności - na przykład nie mógł mrugać powiekami, oddychać, jeść, pić ani chodzić bez pomocy fachowego rehabilitanta.

Carrie roześmiała się cicho.

- Wyluzuj się, Rambo - powiedziała. - Mnie Beldon nic nie zrobił, ale sądząc po wyglądzie jego pielęgniarki, która pokazała się w drzwiach jego sypialni, powiedziałabym, że jej nieźle dogodził.

Ry posłyszał jedno tylko słowo.

- Sypialni? A co ty robiłaś w sypialni Beldona?

- To właśnie usiłuję ci opowiedzieć. Nic. Nic nie robiłam w jego sypialni. Po twoim wyjściu pojechałam do jego mieszkania z mocnym postanowieniem, żeby się z nim przespać... ale nie było tam dla mnie miejsca. Wygląda na to, że pan doktor miał dziś dość obfity program - dodała sucho. - Po południu chciał mnie uwieść, a wieczorem pofiglować ze swoją pielęgniarką.

Ry otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, dusząc w sobie soczyste przekleństwo, na które Beldon z pewnością sobie zasłużył, ale które mogło obrazić uszy Carrie.

- Ry, proszę cię, powiedz mi, czego właściwie mi brakuje? - zapytała Carrie z miną tak żalowaną, że serce omal mu nie pękło. - Dlaczego nie potrafisz zainteresować sobą mężczyzny? Dlaczego nikt nie chce mnie pokochać?

- Zapewniam cię, że się mylisz, to nie twoja wina, misiaczku.

- Może nie jestem dość ładna?

- Przestań opowiadać głupstwa - przerwał jej Ryan schrypniętym głosem. Bardzo pragnął odpowiednio się zachować, powiedzieć jej to, co należy w takiej sytuacji, a jednocześnie jego męska natura domagała się, by ją pocieszył w zupełnie inny sposób. By jej dowiódł nie tylko słowami, jaka jest śliczna w jego oczach. Chciał ją przytulić do siebie z całej siły i kochać ją tak, jak na to zasługiwała. Pragnął, by poczuła, jak wspaniałą jest kobietą, by nabrała większej pewności siebie.

- Carrie, Beldon to kompletne zero i na dodatek kretyn, czy ty tego nie rozumiesz? Nie pozwól, żeby to, co zrobił, czy czego nie zrobił, w jakikolwiek sposób umniejszyło twoje poczucie własnej wartości. Jeśli mężczyzna kocha kobietę, to jej wygląd nie jest dla niego najważniejszy. Liczy się to, kim ona jest. Jej serce. Jej umysł. Osobowość. Wartości, jakie wyznaje. To, jakie prowadzi życie.

Carrie usiadła powoli, spojrzała mu niepewnie w oczy, a potem smutno się do niego uśmiechnęła.

- Rozumiem. To znaczy, że nadaję się tylko na randkę w ciemno. „Wiesz, umówię cię z Carrie. Ma fantastyczną osobowość. No, może jest trochę za wysoka. I trochę za chuda. Jej piersi nie są...”

- Misiaczkule, przestań! Co ty wygadujesz! Nie jesteś ani za wysoka, ani za chuda. Jesteś idealna. A twoje piersi są wprost nie do opisanego - przerwał jej Ryan, nie zastanawiając się, co mówi. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił oderwać wzroku od jej piersi, przesłoniętych czerwonym jedwabiem bluzki. - Są wprost nadzwyczajnie piękne. Czy masz pojęcie, ile nocy śniłem o... - tu przerwał nagle, widząc, że wkroczył na niebezpieczny tor. Przymknął oczy i zaczął sobie wyrzucać nieostrożność i głupotę.

- Ty... śniłeś o... moich piersiach? - szepnęła Carrie z niedowierzaniem.

- O mój Boże, tak... - wyznał Ry, tracąc powoli rezonans między zdrowym rozsądkiem a szaleństwem.

- A jak ci się śniły? - dopytywała się Carrie.

- Nie powinienem ci tego mówić, misiaczkule - jęknął Ry słabnącym głosem. Wiedział, że już przepadł, że próżny jego dalszy opór. - Śniło mi się, że patrzę, jak odpinasz guziki bluzki i widzę...

Gdy wpatrywał się w jej oczy, dostrzegł w nich najpierw wahanie, ale potem pragnienie. Z zapiętym tchem przyglądał się, jak drżącymi rękami Carrie zaczyna powoli rozpinąć perłowe guziczki swojej płomiennoczerwonej bluzki.

Powinien ją natychmiast powstrzymać. Wiedział, że to właśnie powinien zrobić. Ale był tylko człowiekiem. I kiedy Carrie, rozpinając ostatni guzik spojrzała mu prosto w oczy i zapytała:

- Co jeszcze ci się śniło, Ry?

Ryan poczuł, że musi się poddać. Nie miał już siły walczyć.

- Zdejmij ją, Carrie - powiedział nagłym szeptem.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tak często ostatnio się myliła, pomyślała Carrie, przytulając się do mężczyzny, którego kochała całe życie. Pomyliła się w kwestii Nathana Beldona. Źle go oceniła, nie przyjrzała mu się bliżej, swoje złudzenia i marzenia wzięła za rzeczywistość. Z początku podobał się jej, ale przecież w ogóle nie była w nim zakochana. Pocałunki na pikniku nad jeziorem rozczarowały ją. Z pewnością Nathan nie był jednak mężczyzną, jakiego szukała. I całe szczęście, że stało się tak, jak się stało. Spotkało ją wprawdzie upokorzenie, ale, jak się okazało, cudem uniknęła popełnienia nieodwracalnego, katastrofalnego błędu. I musiała teraz uczciwie przyznać, że Ry jej w tym dopomógł. Że nie miała racji, złoścąc się na niego.

Myliła się także, sądząc, że Ry nie widzi w niej kobiety, że jej nie pragnie.

Teraz, patrząc w jego czekoladowe oczy, pełne uczucia i tęsknoty, była pewna, że pragnie jej bardzo. I Carrie nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa z powodu własnych pomyłek...

Pod czerwonym jedwabiem bluzki miała na sobie

tylko czarny stanik z delikatnej koronki. Ry przytulił głowę do jej piersi i trwał tak dłuższą chwilę, wdychając zapach jej perfum, w których dominowały jaśmin i róża. Następnie odpiął jej delikatnie stanik i zsunął z ramion. Pochylił się i zaczął całować jej szyję, dekolt i nareszcie uwolnione, mlecznobiałe, aksamitne piersi.

- Szaleję za tobą... - szepnął i pomógł jej położyć się na kanapie, a sam spieszenie zrzucił z siebie dżinsy, obnażając długie, kształtne, opalone na brąz muskularne nogi.

Carrie znalazła się w zupełnie nowym dla siebie, wymarzonym świecie zmysłowych wrażeń. Świat rzeczywisty przestał dla niej istnieć, zatarły się kontury przedmiotów wydobywanych z cienia przez księżycową poświatę, umilkł szum drzew za oknem.

W tym nowym świecie było ich tylko dwoje, Ry i ona. Spragniona jego dotyku, wsłuchana w jego przyspieszony oddech, w mocne uderzenia serca. O niczym innym nie marzyła, jak tylko o tym, żeby nigdy nie przestał jej całować, pieścić coraz śmieiej jej ciała, które budziło się przy nim w sposób jej dotąd nieznan i jakże cudowny.

Po raz pierwszy w życiu poczuła przypływ namiętności i była szczęśliwa, że może jej ulec w ramionach tego jednego jedynego mężczyzny, którego nie tylko pragnęła, ale którego przede wszystkim kochała. Któremu pragnęła się oddać całym sercem i ciałem. Prze-

cież zawsze marzyła, żeby Ry był jej pierwszym i jedynym mężczyzną. Z nim chciała dzielić życie, zbudować dom, założyć rodzinę. Na zawsze, na dobre i na złe.

Wiedziała, że w jego objęciach jest nareszcie pełna i bezpieczna. Że może mu zaufać, że on otoczy ją miłością, szacunkiem i opieką.

Dała się więc ponieść tej fali namiętności z przekonaniem, że oto spełni się nareszcie to, na co tak długo i z utęsknieniem czekała.

- Taka jesteś piękna - szepnął z zachwytem Ryan, wpatrując się w jej smukłe, lecz niezwykle kobiece ciało i kładąc się przy niej na boku. - Piękniejsza, niż myślałem, niż śmiałem sobie wyobrażać.

Przyłgnął do niej całym ciałem i jął znowu całować jej usta, coraz mocniej, śmieiej, namiętniej, aż oboje nie mogli złapać tchu. Potem zaczął pieścić i całować jej szyję, piersi, a potem całe jej ciało, niżej, coraz niżej...

Aż wreszcie, kiedy napięcie dla obojga stało się już nie do zniesienia, zespolili się z sobą całkowicie, oddając się sobie bez reszty, w radosnym, rozkosznym uniesieniu.

Carrie zdała sobie sprawę, że to, co się dzieje w niej i z nią przekracza jej najśmielsze oczekiwania. Cudowne napięcie narastało, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie, nieoczekiwanie dla niej samej, znalazło ujście w nagłej, fantastycznej eksplozji rozkoszy, która

wyniosła ją gdzieś wysoko, w przestworza. Ale nie była tam sama. Była razem z nim. A on z nią.

W tym wspólnym dla nich momencie Ryan wykrzyknął jej imię, a ona jego.

Potem, gdy leżeli obok siebie złączeni dłońmi, w tej cudownej chwili odpoczynku po spełnieniu, wyciszeniu rytmu serc i oddechów, Ryana ogarnęło poczucie winy. Pozbawił właśnie niewinności kobietę, którą szanował i na której tak bardzo mu zależało, a na dodatek zawiódł zaufanie swego najlepszego przyjaciela. Ale zło się już stało. Zło... Czy na pewno zło? Czy to zbliżenie, które obojgu dało tyle szczęścia, zbliżenie dwojga dorosłych, wolnych ludzi, może być czymś złym? Rozmyślając tak, Ryan zamknął oczy i zaczął powoli odpływać w sen.

Carrie leżała przy nim, nie śpiąc jeszcze i patrząc w sufit, z radosnym uśmiechem na twarzy. Więc, nareszcie, stało się. Nie oczekiwała, że poczuje się taka szczęśliwa. Że to doświadczenie odmieni jej życie.

Nie była zmęczona, wprost przeciwnie, czuła przypływ energii. Przykryła się prześcieradłem, uniosła na łokciu i odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Ryana. Podziękowała w duchu księżycowi, w którego srebrnym blasku mogła podziwiać swojego mężczyznę, zagrożonego w śnie. Wszystko w nim się jej podobało. Szerokie plecy, gładka, opalona skóra, pod którą prę-

żyły się mięśnie, kiedy go dotykała. A dotykała wszędzie...

Zachodnie rejony Teksasu słyną ze wspaniałych zachodów słońca. Ale teksańskie jutrzeńki także potrafią budzić niemal religijny zachwyty. Tego ranka, kiedy Ry stał przed oknem w kuchni, ubrany w dzinsy, wysokie buty i flanelową koszulę, pilnując ekspresu do kawy, niebo mieniło się tak pięknymi kolorami jak nigdy. Jednak Ry nie był w stanie w pełni rozkoszować się tym cudownym spektaklem, bo jego myśli nieustannie krążyły wokół Carrie.

Była wspaniałą, niezwykłą kobietą, od czubka głowy po palce u nóg. Piękną, delikatną, a zarazem namiętną. Wyjątkową. Zupełnie go zaskoczyła swoją spontanicznością i czułym oddaniem. Nigdy w życiu Ry nie przeżył takiej nocy. I nie wyobrażał sobie, by coś podobnego mogło mu się zdarzyć.

Machinalnie sięgnął po filiżankę do kawy i kiedy zaczął się zastanawiać, co dalej począć z tą niesłychaną niespodzianką, posłyszał na podłodze ciche kroki Carrie.

Odwrócił się i oniemiał na jej widok. Miała na sobie jego starą, spraną, bawełnianą koszulę i nic poza tym. Wyglądała fantastycznie. Stała przed nim i, uśmiechając się zalotnie, odgarnęła z twarzy falę rudych włosów, ukazując dodający wdzięku jeden zawsze niesforny kosmyk.

Ry wiedział, co mu chciała powiedzieć. Że ostatnia noc była dla niej równie cudowna, jak dla niego. I że pragnie takich nocy więcej.

Zasługiwała na to, i na znacznie więcej. Ale w tym momencie Ry potrafił zdobyć się jedynie na kwaśny, smutny uśmiech i podjąć próbę naprawy poważnego błędu, jaki niestety popełnił.

- Musimy się pobrać - powiedział.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego ranka, wstając z łóżka Ryana, Carrie czuła się mile rozluźniona i szczęśliwa. Nareszcie jest już dojrzałą, doświadczoną kobietą! Przeciągnęła się rozkosznie, uśmiechnęła do swoich wspomnień i pogłaskała dłonią piersi i uda. W tym właśnie momencie uświadomiła sobie, że jej ubranie zostało w salonie.

Nie było powodu, żeby czuła się onieśmielona po tej pierwszej w swoim życiu, cudownej nocy, ale nie uważała też za stosowne paradować po domu w stroju Ewy. Przyszło jej do głowy, że najprościej będzie zajrzeć do szafy Ryana. Zdjęła z ramiączka pierwszą z brzegu koszulę i z przyjemnością przytuliła ją do twarzy, wdychając woń czystości zmieszaną z charakterystycznym zapachem Ryana, który poznałaby wszędzie. Kładąc ją na siebie, Carrie pomyślała, że powinna też zrobić porządek z włosami, ale przede wszystkim pilno jej było złapać Ryana, zanim ten wyjdzie z domu do pracy. Koniecznie musiała popatrzeć na jego twarz. Zajrzeć mu w oczy i znaleźć z nich tę samą miłość i tęsknotę, którą sama do niego czuła.

Kiedy więc weszła do kuchni i zobaczyła go, jak stał przy oknie w blasku wschodzącego słońca - w granatowej flanelowej koszuli i znoszonych džinsach - serce zabiło jej tak mocno, jak biło zawsze na jego widok przez te długie lata. Tylko że tym razem Carrie wiedziała, dlaczego tak bije. Ryan został jej kochankiem. Wprowadził ją w świat niezwykłych doznań i uczuć.

Chyba słyszał jej kroki, bo odstawił filiżankę z kawą na kuchenny blat, wyprostował ramiona i odwrócił się, by na nią popatrzeć. Carrie uśmiechała się do niego z radosnym oczekiwaniem, ale i niepewnością. Co też ujrzy na jego twarzy po tej pierwszej nocy? Niepewność ta jeszcze wzrosła, kiedy z przystojnej twarzy Ryana nie mogła wyczytać żadnych uczuć.

Skonsternowana i onieśmielona, poprawiła sobie włosy.

I wtedy przekonała się, jak bardzo jej obawy okazały się uzasadnione.

- Musimy się pobrać - odezwał się Ry.

Patrzała z niedowierzaniem na jego usta, które minionej nocy były tak bardzo zmysłowe, miękkie i natarczywe. Teraz, mimo że wyglądały na nieprzyjaźnie zacięte, Carrie wciąż jeszcze czekała, aż powie jej: Dzień dobry, kochanie. To była fantastyczna noc. Jak dobrze, że się już obudziłaś. Chcę się znowu z tobą kochać.

Ale w jego oczach, w jego postawie i mimice nie

było ani cienia miłości. Było jedynie mocne postanowienie.

- Słucham? Co ty powiedziałaś? - zapytała, przekonana, że chyba źle go usłyszała.

Ry przełknął głośno ślinę, po czym, unikając jej wzroku, wlepił oczy w jakiś punkt za jej plecami.

- Musimy się pobrać - powtórzył z ponurą determinacją.

Carrie potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- O czym ty mówisz?

I dlaczego on nie odzywa się do mnie takimi słowami, pomyślała: Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić. Byłem ostatnim idiotą, broniąc się przed tą miłością. Wybacz mi, proszę.

Ale on niczego takiego nie powiedział. Prawdę powiedziawszy, w ogóle już się nie odzywał. Im dłużej stał tak, z kamienną twarzą, tym bardziej Carrie była przekonana, że nawet przez" myśl mu nie przeszły podobne słowa.

Carrie poczuła, jak wszystko, co ostatnio stało się w niej takie ufne i miękkie, zaczyna sztywnieć i twardnieć. Jak pęka niczym przekłuty balonik jej serce narzmięte miłością. Jak gaśnie optymizm, który kazał jej wierzyć, że teraz będą już zawsze razem, kochający się i szczęśliwi.

- Musimy się pobrać? Musimy? - powtórzyła, nie wierząc wciąż własnym uszom. Ale w następnym momencie łuski opadły jej z oczu.

Sądziła, że Ry kochał się z nią dlatego, że był w niej zakochany, Ale smutna prawda była inna: to ona praktycznie go do tego zmusiła. Tak się wyplakiwała na jego ramieniu, że nie miał innego wyjścia, jak tylko ją pocieszyć najlepiej, jak tylko potrafił. Carrie świetnie wiedziała, że Ry nie może spokojnie patrzeć, gdy ktoś jest nieszczęśliwy.

Więc zachował się, tak jak zachowałyby się każdy mężczyzna na jego miejscu. Wziął ją w ramiona i kochał się z nią do upadłego.

A teraz tego żałował. Teraz udawał męczennika. Powiedział, że teraz muszą się pobrać. Nie dlatego, żeby ją kochał. Dlatego, że pozbawił ją dziewictwa.

Carrie wciąż nie potrafiła w to uwierzyć. Jak mogła okazać się taką idiotką i zachować się w ten sposób wobec niego! I w tym momencie powzięła mocne postanowienie, że już nigdy nie pozwoli się w ten sposób upokorzyć. Już ani Ry, ani żaden inny mężczyzna nie przyprawi jej o łzy. Dostyc się ostatnio napłakała, wystarczy za wszystkie czasy.

- Niczego nie musimy robić - poinformowała go stanowczo i, odwracając się na pięcie, wypadła jak burza z kuchni. Musiała jak najszybciej opuścić ten dom.

Pospiesznie się ubierała, kiedy Ryan wszedł do pokoju.

- Carrie, posłuchaj mnie.

- Och, już dość się ciebie nasłuchałam - oświadczyła, wciągając kozaczki. - Zapewniam cię, że nie

pozwolę, abyś się dla mnie poświęcał - dodała, mijając go i ruszając w kierunku frontowych drzwi. - I nic się nie martw. Nie wygadam się przed twoim starszym bracie. Możesz spać spokojnie.

Ry przytrzymał drzwi, zanim zdążyła je za sobą zatrzasnąć. Złapał ją za rękę, zanim zdążyła odejść.

- Carrie...

- No dobrze, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze

- powiedziała, zwracając się ku niemu. - Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Ale trudno, stało się. I w końcu wyświadczyłeś mi wielką przysługę, nieprawda? Więc wyluzuj się i nie rób takiej ponurej miny. Zachowałeś się jak profesjonalista. Dziewczyna nie mogłaby oczekiwać niczego więcej podczas swojej pierwszej nocy. Dzięki ci, Ry, byłeś naprawdę fantastyczny w łóżku.

Carrie walczyła ze łzami, kiedy Ry chwycił ją za drugą rękę i potrząsnął nią.

- Przestań. Przestań natychmiast - zaprotestował kategorycznie. - Wcale tak nie było i ty świetnie o tym wiesz.

- No to jak było, według ciebie? - chciała wiedzieć Carrie, zmuszając się do spojrzenia mu prosto w oczy.

- Może chcesz się ze mną ożenić, dlatego że mnie kochasz? Czy właśnie to usiłujesz mi teraz powiedzieć?

Jakaś mała częśćka w jej sercu - idiotyczna, marzycielska - wciąż miała nadzieję, że on przyzna jej rację, że powie „tak”. „Tak, kocham cię”.

Ale on tego nie powiedział. Przeciwnie, poblądł i unikał jej wzroku.

I to ją zabolalo. Bardzo zabolalo.

- No cóż - Carrie wyprostowała ramiona i pozbię-
rała resztki dumy. - Myślę, że nie musisz już nic mówić.
Do widzenia, Ryan. Było... naprawdę super. Mimo
wszystko chcę, żebyś o tym wiedział.

Jego ręce zacisnęły się na jej ramionach. Carrie na-
gle poczuła się bardzo znużona.

- Czy nie możesz pozwolić mi odejść z podnie-
sioną głową, tak żebym zachowała choć trochę god-
ności?

- Nic nie rozumiesz - westchnął głęboko Ryan. -
Carrie, tak się to wszystko nagle stało, że ja... ja się nie
zabezpieczyłem. Możemy mieć dziecko - dodał cicho.

Te słowa jak sztylet przeszły jej serce. A więc i o
tym pomyślał, i to go nurtowało. zaproponował jej
małżeństwo, bo poczuł się winny.

- Rzeczywiście - zgodziła się, unosząc wysoko
brodę i odwołując się do swojej godności. - To nie jest
wykluczone. Byłabym szczęśliwa mając dziecko. Ale
nie zamierzam wychowywać swojego dziecka z męż-
czyzną, który mnie nie kocha. Więc tak czy owak, nie-
musisz się do niczego poczuwać. A już z pewnością nie
musisz mi proponować małżeństwa. A teraz puść mnie,
proszę. Pozwól mi odejść.

Ry milczał dłuższą chwilę, aż wreszcie zwolnił
uścisk.

Carrie szybko przeszła do samochodu i ruszyła w stronę miasta. Odjeżdżając, ujrzała go we wstecznym lusterku, jak stał na podjeździe i odprowadzał ją wzrokiem. Nie widziała smutku w jego oczach ani nie słyszała głębokiego westchnienia, jakie wydał. Znadto była pogrążona we własnym nieszczęściu, żeby myśleć, co on przeżywa.

Stephanie Firth była nie tylko dobrą przyjaciółką, ale też zawsze umiała wysłuchać innych. Kiedy tylko zobaczyła Carrie, która spóźniła się tego dnia na swój dyżur w bibliotece, wiedziała, że jej przyjaciółka potrzebuje pomocy.

Od razu zaprowadziła ją do swojego gabinetu, posadziła na fotelu i wcisnęła w rękę filiżankę kawy ze śmietanką.

- No dobrze. Co się stało? - zapytała wreszcie łagodnie, przysiadając na krawędzi biurka.

Carrie niewiele myśląc, otworzyła przed nią serce. Opowiedziała jej o swoim wieloletnim uczuciu do Rayana, o tym, jak miała nadzieję nawiązać bliższą znajomość z Nathanem, i o wszystkim, co się wydarzyło od tego czasu. Także o tym, że spędziła noc z Ryanem. I o tym okropnym poranku w jego domu.

- No, faktycznie zachował się dość dziwnie - przyznała Stephanie. - Wolałabym, żeby ci się oświadczył z miłości...

- Jak on mógł sobie wyobrazić - westchnęła z bó-

lem Carrie - że ja bym się zgodziła odgrywać rolę kuli, wiszącej mu u szyi na łańcuchu.

- Ależ kochanie... on z pewnością nigdy by tak o tobie nie pomyślał.

- Ale ja bym tak myślała. Nie mogłabym żyć z takim przeświadczeniem.

Stephanie podniosła się z biurka, niby po to, żeby zerwać pożółkły liść z pięknego, wybujałego filodendrona stojącego na parapecie, ale tak naprawdę po to, żeby zebrać myśli. Za oknem niebo pociemniało już i z wolna zapadał zmrok. W lutym w Teksasie noc zaczyna się dość wcześnie.

- Może on się tak zachowuje właśnie dlatego, że chodzi o ciebie... a ty jesteś przecież dla niego kimś wyjątkowym? - odezwała się, zerkając pytająco na przyjaciółkę.

- Tak, na pewno - powiedziała Carrie z sarkazmem w głosie. Kimś tak wyjątkowym, że nie sposób go pokochać...

- A jak wam było w łóżku? - zapytała Stephanie, zmieniając nieco temat.

- Fantastycznie. Brak mi słów - zarumieniła się Carrie. - Wiesz...

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i zaraz potem stanął w nich Nathan Beldon, który wszedł do pokoju bez zaproszenia.

- Carrie - powiedział, z ulgą w głosie. - Dzięki Bogu, że cię odnalazłem.

Carrie wyprostowała się, podniosła wyżej głowę i oznajmiła:

- Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia, Nathan.

Ten spojrzał na Carrie, a potem przeniósł wzrok na Stephanie, która patrzyła na niego ze źle ukrywanym niesmakiem.

Nathan uśmiechnął się do niej czarująco.

- Czy zechciałaby pani zostawić nas samych na kilka minut? Zdaję sobie sprawę, że nie powinienem o to prosić, ale doprawdy muszę o czymś pogadać z Carrie w cztery oczy.

Stephanie spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

- W porządku, Steph - odparła Carrie, która doszła do wniosku, że lepiej będzie mieć to już za sobą, oczyścić atmosferę, pozbyć się Nathana na dobre i żyć dalej normalnie.

- Rzeczywiście, Nathan i ja musimy zakończyć pewną sprawę. Nie zajmie to nam więcej niż kilka minut.

- Będę w pokoju obok - rzuciła wychodząc Stephanie, niepewna, czy mądrze robi zostawiając Carrie sam na sam z Nathanem.

Gdy wyszła, trochę niechętnie, zamykając za sobą drzwi, Carrie odezwała się do Nathana chłodnym tonem:

- Pora z tym wreszcie skończyć. Powiem ci

wprost: nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. I z pewnością nie jesteś kimś, z kim chciałabym utrzymywać znajomość. Poza tym nie mam ci nic do powiedzenia.

Mówiąc to, podniosła się z fotela i ruszyła w stronę drzwi.

- Nigdzie nie pójdziesz, ty mizdrząca się mała zmijsko.

Carrie była tak zaskoczona - jego słowami, urazą, która w nich pobrzmiwała - że zamarła na moment, pewna, że musiała się przesłyszeć. Ale gdy spojrzała mu w twarz, przekonała się, że jest ona pełna nienawiści, której Nathan nie usiłował nawet ukryć.

Kim jest ten człowiek? Jak mogła choć przez moment sobie wyobrazić, że w jej życiu będzie on kimś wyjątkowym?

Ogarnął ją nagły lęk. Miała tylko jedno pragnienie - znaleźć się od niego jak najdalej.

- Do widzenia, Nathan.

- Już ci powiedziałem, że nigdzie stąd nie pójdziesz - warknął Roman Birkenfeld i kiedy usiłowała go wyminąć, złapał ją mocno za ramię.

Świetnie, pomyślał, kiedy ujrzał na jej twarzy ból i szok tak duży, że nie mogła wydusić z siebie słowa. W jej oczach zobaczył też strach, co bardzo go ucieszyło. Nie miał zamiaru ostro sobie z nią poczynać, przynajmniej jeszcze nie. Chciał ją na razie do siebie przekonać, odzyskać jej zaufanie. Musiał to zrobić, jeśli poprzez

nią chciał dotrzeć do Natalie Perez i swoich pieniędzy.

- Puść mnie - powiedziała zimno Carrie, która zdążyła odzyskać głos.

- Lepiej sobie coś wyjaśnijmy. Nie ty tu rozkazujeś, tylko ja - rzucił Birkenfeld, wyciągając z kieszeni rewolwer, w który zaopatrzył go Jason Carter. Z rozkoszą odnotował stłumiony okrzyk przerażenia, jaki wydała Carrie. Broń w ręku dodała Birkenfeldowi poczucia siły. Tego właśnie potrzebował. Było to wspaniałe uczucie.

- Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy wzywać pomocy czy uciekać. Nawet gdyby tobie udało się stąd wymknąć, obiecuję ci solennie, że twoja przyjaciółka Stephanie, bo tak się ona chyba nazywa? - że ona i wszyscy, z którymi masz bliski kontakt, mogą pożegnać się z życiem. Jasne?

- Nathan... nie rozumiem. Co ty robisz? O co ci chodzi?

- Nie nazywam się Nathan. Jestem Roman Birkenfeld. I nie musisz o mnie więcej wiedzieć, poza tym że mam powyżej uszu tej zapadłej dziury, tej sytuacji i tego, że przez twoją przyszłą szwagierkę moje życie legło w gruzach.

- Natalie? A cóż Natalie... Zaraz, zaraz. Birkenfeld? Przecież Roman Birkenfeld to ten lekarz, który...

- Dobrze wiem, kim jestem - przerwał jej ostro. - Ależ z ciebie naiwniaczka! - Znowu wezbrało

w nim poczucie siły na myśl o tym, jak łatwo mu przyszło ich oszukać. Wszyscy uwierzyli, że jest Beldonem. Wyprowadził w pole nawet samego doktora Beldona, który, nieszczęsny idiota, mu zaufał. Birkenfeld był lepszy od tych wszystkich miejscowych kmiotków. Ale gdyby nie udało mu się odzyskać i zwrócić lichwiarzom pieniędzy, pewnie przyszłoby mu pożegnać się z życiem, podobnie jak Beldonowi, kiedy sam go załatwił.

Poprzedniej nocy dostał telefon, w którym w szczególności go poinformowano, jaki go czeka los, jeśli nie zwróci długu w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie miał pojęcia, jak ci kolesie go odszukali, ale już sam fakt, że im się to udało, był wystarczająco wymowny. Birkenfeld wiedział, co mu grozi.

Jeszcze kilka minut temu liczył na to, że Stokes i Carter odzyskają wreszcie jego pół miliona dolarów. Ale właśnie zadzwonił do niego Tommy Stokes i powiedział, że obaj z Carterem dali plamę, kiedy chcieli doprowadzić forszę z Klubu Ranczerów. I to taką plamę, że Carter wylądował w areszcie, a Stokes, który mu powiedział bez ogródek, gdzie może sobie wetknąć tę chrzanioną robotę, zmył się z miasta i powędrował w stronę dal.

Teraz Birkenfeldowi pozostała tylko Carrie. Jej braciszek na pewno przyniesie mu w zębach kasę, jeśli mu zależy na życiu siostry.

- Idziemy! - rozkazał, wsuwając rewolwer do kie-

szeni marynarki i stając trochę z boku za Carrie, tak, żeby czuła na żebrach lufę. - Idź przede mną, tak jak ci każe. Jeśli ktoś cię zaczepi, powiesz, że wybieramy się na kawę, bo mamy coś do obgadania, rozumiano?

Carrie skinęła głową.

- Życie twojej przyjaciółki zależy od tego, czy dobrze odegrasz swoją rolę - przypomniał jej i popchnął w stronę drzwi.

Ten facet jest niepoczytalny. Carrie była tego pewna, kiedy siedziała na betonowej podłodze w kącie jakiegoś pomieszczenia, w którym panowało zimno i wilgoć i które, sądząc po odgłosach, było zupełnie puste. Doszła do wniosku, że musi to być jakiś magazyn, albo może garaż, nie mogła mieć pewności. Kiedy Birkenfeld kazał jej wsiąść do samochodu, przewiązał jej oczy opaską, skrępował ręce i odjechał.

Niczego nie mogła z niego wydobyć, cały czas nawijał w kółko o sobie, o tym, że musi odzyskać pieniądze, wściekał się na Natalie, która mu pokrzyżowała plany, i przysięgał, że mu za to słono zapłaci. Że wszyscy mu zapłacą.

Natalie i Roman Birkenfeld. Carrie powoli zaczęła się domyślać, co łączy tych dwoje, czy, raczej, co ich dzieli. Kiedy niedawno przypadkiem usłyszała rozmowę Natalie i Trávisa, dowiedziała się, że Birkenfeld jest tym lekarzem z Chicago, który usiłował ukraść dziecko Natalie. Nie mogła tylko pojąć, jaką rolę ona

sama miała pełnić w tej łamigłówce. To fakt, że była mocno przestraszona i może dlatego coś jej umknęło. Coś bardzo istotnego. Coś, co mogłoby uratować jej życie, bo nie miała wątpliwości, że jest ono poważnie zagrożone.

Starła się skoncentrować na tym, co mówił Birkenfeld i na tej podstawie wysnuć jakieś wnioski co do czasu, jaki upłynął od chwili jej uprowadzenia i miejsca, w jakim się teraz znajdowała, ale opaska na oczach bardzo jej to utrudniała. Poza tym serce wciąż waliło jej ze strachu jak młot, a umysł podsuwał coraz to nowe, przerażające obrazy tego, co może ją jeszcze czekać.

Mimo to próbowała się skoncentrować. Miała wrażenie, że jechali ze dwadzieścia minut, zanim Birkenfeld zatrzymał samochód i ją z niego wyciągnął. Głuche stuknięcia zamykanych drzwi, kiedy prowadził ją labiryntem jakichś pomieszczeń i schodów, wskazywały na to, że znaleźli się w bardzo dużym gmachu.

To rzeczywiście musi chyba jakiś magazyn, pomyślała. Pewnie już nieużywany, ponieważ był nieopalanym. Carrie wyczuła też jakiś zapach. Znajomy, ale, chociaż usilnie się starała, nie potrafiła go zidentyfikować.

- Wstawaj - rozkazał jej nagle Birkenfeld.

Opierając się plecami o ścianę, aby nie stracić równowagi, ponieważ ręce wciąż miała związane, Carrie z trudem podniosła się z podłogi.

- Pogadamy sobie teraz z twoim kochanym bratkiem. Masz mu tylko powiedzieć, że się dobrze czujesz i że musi zrobić to, co mu każę, bo inaczej cię zabiję. Zrozumiałaś?

Bo inaczej cię zabiję. Tak, Carrie zrozumiała go aż za dobrze.

Skinęła głową i nie pokazała po sobie, jakie wrażenie wywarły na niej te słowa, chociaż serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Jaki ma numer komórki?

- Nie wiem. Jest zapisany w mojej komórce, ale numeru nie pamiętam.

Wzdrygnęła się, kiedy Birkenfeld zaklął głośno.

- Jest w mojej torebce - pospieszyła wyjaśnić. - Mój telefon. W torebce.

Usłyszała, jak na podłogę wypadają jakieś przedmioty, kiedy Birkenfeld grzebał w jej torebce.

- Jaki jest twój PIN?

Carrie była tak zdenerwowana, że przez moment nie mogła go sobie przypomnieć, ale po chwili zebrała myśli i podała mu numer. Zaraz też posłyszała klikanie naciskanych klawiszy, po czym zaległa cisza wskazująca, że Birkenfeld czeka, aż Travis odbierze telefon.

W tym momencie potrafiła myśleć tylko o jednym: zdała sobie sprawę, że jej porywacz nie zamierza puścić jej wolno, że ją zabije niezależnie od tego, czy Travis przystanie na jego warunki, czy nie.

To dziwne, ale bardziej niż o siebie martwiła się

o Trávisa i Ryana. Była pewna, że gdyby tylko przydarzyło jej się coś złego, czułiby się za to odpowiedzialni. Do końca życia.

A ona ani razu nie wyznała Ryanowi, że go kocha. Gdy to sobie uświadomiła, poczuła przypływ odwagi. Postanowiła, że przestanie kulić się ze strachu jak zwierzę i że nie da się zabić temu łajdakowi.

Zwierzę. O właśnie! To było to! Ten właśnie zapach usiłowała rozpoznać, zmieszany z wonią środków odkażających i kurzu. Dobry Boże. Teraz nareszcie wiedziała, gdzie jest.

Kiedy zadzwonił telefon, Trav jechał właśnie samochodem na spotkanie w klubie. Sprawdził na wyświetlaczu, że dzwoni telefon Carrie.

- Hej, misiaczku, co u ciebie słyszeć? - zagadnął wesoło.

- Mam tu coś, na czym ci zależy, Whelan. Travis o mały włos nie wjechał w bagażnik samochodu przed sobą.

- Kto mówi? - zapytał, czując, że ogarnia go lęk.

- Roman Birkenfeld.

Złe przeczucie ustąpiło panicznemu przerażeniu.

- Birkenfeld? Co u diabła...

- Zamknij się - warknął jego rozmówca. - Zamknij się słuchaj. Powtarzam, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Mam tu coś, na czym ci zależy, a ty masz coś, na czym mnie zależy. Ja mam twoją siostrę.

- Ty sukin...
- Dobra dobra, wiem, że z ciebie twardziel i Teksańczyk całą gębą, ale nie zapominaj, że teraz ja tu rządę. Jeśli ją chcesz odzyskać, postąpisz dokładnie tak, jak ci każe. Żadnych pytań, zrozumiano?
- Chcę z nią rozmawiać - zażądał Trav, któremu zimny pot zrosił czoło.
- Usłyszał stłumiony okrzyk - bólu, zaskoczenia - który omal nie wyrwał mu serca z piersi. A potem jej głos. Drżący głos, który zupełnie go rozstroił.
- Trav...
- Carrie. Mój Boże, misiaczku. Co on ci zrobił?
- Nic. Jeszcze. Nic mi nie jest. Twarda ze mnie sztuka. Z dobrej... obory - Carrie usiłowała się zaśmiać.
- Gdzie ty jesteś, kochanie?
- Ja... Nathan... czyli Birkenfeld... on zawiązał mi opaskę na oczach. Trav... kocham cię. Zawsze... będę pamiętała Fort Worth....
- Birkenfeld wyrwał jej telefon z ręki.
- Bardzo to wzruszające - syknął - ale mamy teraz interes do ubicia, Whelan. Zdajesz sobie sprawę, że nie zobaczysz jej żywej, jeśli nie wypełnisz moich instrukcji co do joty.
- Birkenfeld, jeżeli spadnie jej choćby włos z głowy...
- Nie będziesz mi tu stawiał żadnych żądań! - wrzasnął Birkenfeld histerycznym głosem. - Jeszcze

jedno słowo, a twoja siostrzyczka wyda ostatnie tchnienie.

Trav przygryzł język i poprzysiągł obie, że kiedy odnajdzie tego łotra, obedrze go żywcem ze skóry. Jeżeli go znajdzie. A do tego czasu nie miał wyboru i musiał tańczyć tak, jak on mu zagra.

- No, widzę, że wreszcie nabrałeś rozumu - skonstatował Birkenfeld. - A teraz słuchaj uważnie, co masz zrobić.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie po raz pierwszy w życiu Ryan czuł się bezradny. Kiedy człowiek leży rozciągnięty na arenie rodeo i czeka, co mu przyniesie los, kiedy wierzga nad nim, bije zadem i staje dęba rozzłoszczony, pięćsetkilowy dziki mustang i jedno uderzenie kopyta może położyć kres nie tylko jego karierze, ale i życiu, wtedy człowiek czuje się zupełnie bezradny, nawet jeśli jest najlepszym jeźdźcem pod słońcem. Ale nigdy nie czuł takiego smaku bezradności jak teraz, kiedy Travis zadzwonił do niego i do dwóch innych członków klubu, zaangażowanych w sprawę Natalie i przekazał im najgorszą z możliwych wiadomość.

Roman Birkenfeld, człowiek, który próbował zabić Natalie i ukraść jej dziecko, porwał teraz i więził Carrie jako swoją zakładniczkę.

Carrie. Tę małą dziewczynkę, która na jego oczach - wyrosła na piękną kobietę. Kobietę, której pragnął i od której zarazem starał się trzymać z daleka. Kobietę, z którą tak cudownie się ostatnio kochał. I w której być może był nawet zakochany.

- Opowiedz to wszystko jeszcze raz - poprosił Tra-

va, kiedy w czwórkę, wraz z Alexem Kentem i Darinem ibn Shakirem, zgromadzili się wokół stołu konferencyjnego w salce zebrań na tyłach klubu. - Musi być coś... jakiś szczegół, który przeoczyliśmy, a który nas do niej zaprowadzi. Teraz, kiedy Trav czeka na telefon od Birkenfelda, który mu powie, gdzie powinien zostawić pieniądze, mamy chwilę czasu, żeby się na tym skupić.

- Ten drań nie ma zamiaru wypuścić Carrie - powiedział z posępną miną Darin, spoglądając po kolei to na Travisa, to na Ryana. - Chyba to rozumiecie, prawda?

Aż nadto dobrze, pomyślał Ryan, wstając od stolika, przy którym nie mógł dłużej usiedzieć, ledwie przytomny z bezsilnej wściekłości i lęku o Carrie.

- Powiedz nam dokładnie, co ona ci powiedziała - zwrócił się do Travisa. - Jeśli możesz, słowo w słowo.

Trav zaczerpnął głęboko powietrza, zamknął oczy i skoncentrował się.

- Powiedziała, że założył jej opaskę na oczy. Że nie wie, gdzie jest. Powiedziała... powiedziała... Trav, kocham cię. - Tu musiał przerwać, gdyż wzruszenie dławilo go za gardło. - A potem powiedziała coś dziwnego, że zawsze pamięta Fort Worth. Jakby bez związku.

- Fort Worth? - Ry nachylił się nad stolikiem naprzeciwko Travisa i oparł na blacie ręce. - Ona coś ci przez to chciała dać do zrozumienia. Nie domyślasz się co?

Trav, skonsternowany, potrząsnął przecząco głową.

- Wakacje. Czasami wyjeżdżaliśmy na rodzinne wakacje do Fort Worth. Ale to by było zanadto oczywiste, no i przecież tam nie zdążyłby jej zawieźć w tak krótkim czasie. Stephanie powiedziała mi, że odjechali spod biblioteki nieco ponad godzinę temu.

Ry znów zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

- A co robiliście podczas wakacji w Fort Worth? - zapytał Alex.

- Często chodziliśmy na pokazy bydła. Ale zaraz, poczekajcie - przerwał nagle swą opowieść Trav. - Jeszcze sobie coś przypomniałem. Kiedy ją zapytałem, czy dobrze się czuje, odpowiedziała, że twarda z niej sztuka, wspomniała, że pochodzi z dobrej obory. To miało zabrzmieć jak dowcip, w każdym razie tak mi się wtedy wydawało.

- No tak. Pochodzi z dobrej obory. Z obory - uderzył się w czoło Ryan. - Nie mogła się jaśniej wyrazić. On ją przetrzymuje w tych opuszczonych olbrzymich oborach na przedmieściach! - wykrzyknął i nie tracąc ani chwili pobiegł do drzwi.

Alex dogonił go i złapał za ramię.

- Posłuchaj, Ry, nie możesz tam pędzić na wariata. Nawet nie masz pewności, czy on rzeczywiście ją tam przetrzymuje.

- I nie mam pewności, że jest inaczej - odparł Ry, spoglądając ponad jego ramieniem na Trava. - Kiedy Birkenfeld znów zadzwoni, żeby ci podać warunki wy-

miany, postaraj się grać z nim na zwłokę, żeby się stamtąd nie ruszył. A jeśli uznasz, że Carrie jest w jakimś innym miejscu, daj mi znać na komórkę. Na razie nie włączaj w tę sprawę Vincente'a. Nie chcę, żeby policja zajęła tam z piskiem opon i wyciem syren, boję się, żeby Birkenfeld nie popełnił jakiegoś głupstwa.

- Ry - próbował go jeszcze raz powstrzymać Darin, ale Ryan już wybiegł z klubu.

Trzej mężczyźni wymienili pełne troski spojrzenia, ale nie mogli już nic poradzić. Jeśli Ryan ma rację, to kto wie, może mu się uda odbić Carrie, zanim stanie się jej krzywda. Jeśli nie, to będą musieli zaczynać wszystko od początku, a jej życie znów zawisnie na włosku.

- Dam znać Davidowi i Clintowi i poproszę, żeby byli w pogotowiu - powiedział Alex, wyciągając z kieszeni swój telefon komórkowy.

Darin położył rękę na ramieniu Trávisa.

- Teraz musimy spokojnie poczekać.

- Tak - odpowiedział Travis, spoglądając posepnie na swój telefon, jakby go chciał zmusić, żeby wreszcie zadzwonił. - Teraz nie pozostaje nam nic, jak tylko czekać.

Carrie siedziała w kucki na podłodze. Było jej zimno, od twardego betonu, na który brutalnie popchnął ją Birkenfeld, bolało ją siedzenie. I tak mijały minuty,

a może godziny... trudno się jej było zorientować, ile upłynęło czasu od pierwszego, a potem drugiego telefonu Birkenfelda do Trávisa.

Miała wrażenie, że nie minęła jeszcze godzina, zanim ją tutaj przywiózł. I pewnie mniej niż kwadrans temu rozmawiał z Travem po raz drugi, podając mu warunki wymiany. Zdawała też sobie sprawę, że to może być jej ostatnia godzina. Birkenfeld z wszelką pewnością był niepoczytalny.

Nie przestawał bełkotać o tym, jak to Natalie mu za wszystko zapłaci. I jak Travis nie zobaczy już nigdy swojej córki. Obiecywał też, że zabije Ryana w odwecie za upokorzenie, jakiego od niego doznał. Wrzeszczał, szalał, wściekał się. Carrie nie miała wątpliwości, że i ona jest na jego liście tych, których ten wariat chce zabić.

Musiała jakoś temu zapobiec... i to nie zwlekając. Wciąż miała opaskę na oczach, ale, ku jej zdziwieniu, nagle wyostrzyły się inne jej zmysły. Na przykład powonienie, dzięki któremu rozpoznała zapach środków odkażających, skóry i krowiego łajna. Gdyby tylko Travis zdołał się domyślić, co chciała mu podpowiedzieć, wspominając o Fort Worth i o oborze...

Wyraźnie wyostrzył się jej też słuch. Słyszała, jak Birkenfeld grzebie znów w jej torebce i jak dobiera się do batonika, który zwykle tam nosiła, na wypadek, gdyby poczuła się głodna.

A potem usłyszała coś jeszcze... bardzo cichutkie

dźwięki. Modliła się w duchu, aby był to odgłos zbliżających się do drzwi kroków. I postanowiła natychmiast zrobić coś, żeby te odgłosy zagłuszyć.

- Muszę wyjść do toalety - odezwała się głośno.

- Guzik mnie to obchodzi - zaśmiał się nieprzyjemnie Birkenfeld. - Za jakieś dwie minuty nikogo to nie będzie obchodzić, z tobą włącznie.

- Zamierzasz mnie zabić, prawda?

- Zdziwiłabyś się, ale pozbawienie kogoś życia wcale nie jest takie trudne i nie trwa długo.

O mój Boże. Carrie przemogła strach, który uwiązał jej w gardle, i zmusiła się, żeby mówić dalej.

- Już kiedyś kogoś zabiłeś?

- Tak, nie jestem zupełnym nowicjuszem. Musiałem sprzątnąć poczciwego doktora Nathana Beldona, żeby przywłaszczyć sobie jego tożsamość. Poszło mi z nim nadzwyczaj gładko. Niestety ty nie będziesz miała tyle szczęścia co on - powiedział Birkenfeld. -Widzisz, moja kochana, nie zaopatrzyłem się w odpowiednie leki, więc nie będę ci mógł zrobić zastrzyku, który posłałby cię szybko w zaświaty. Będziesz musiała trochę się pomęczyć. Niestety, ja także.

- Wcale nie musi tak być - odezwała się Carrie, znów zdobywając się na odwagę. - Trav i ja mamy dużo pieniędzy. Dobrze ponad pół miliona dolarów. Mój brat jest bardzo zamożny. Ja też dysponuję funduszem powierniczym na niezłą sumkę. W porównaniu z tym, to, co ukradłeś, to pestka.

- Nic nie ukradłem! - wrzasnął ze złością Birkenfeld. - Zarobiłem tę forszę... nielegalnie, oczywiście. Z pewnością nieetycznie, ale musisz przyznać, że pozyskiwanie małych dzieci dla chętnych nabywców jest zadaniem wymagającym finezji i wysokich umiejętności.

- Powtarzam - powiedziała Carrie - że jeśli mnie uwolnisz, dostaniesz od mojego brata znacznie większy okup niż te pół miliona.

Gdy to mówiła, posłyszała stukot ładowanej broni i zbliżające się kroki swego prześladowcy.

- Naprawdę mi przykro - odezwał się, ciężko dysząc - ale muszę zrobić to, co...

Przerwał mu głośny trzask pękającego drewna. Do uszu Carrie dobiegł głuchy odgłos pięści uderzającej w ciało, a po chwili huk wystrzału.

Krzyknęła i skuliła się, osłaniając głowę ramionami. Nie miała pojęcia, skąd mogło przyjść zagrożenie, wiedziała tylko, że nie jest już z Birkenfeldem sam na sam i że jeśli ktoś przyszedł jej z odsieczą, to zdążył dokładnie w samą porę.

Nie potrafiła ustalić, jak długo trwała walka, która toczyła się niedaleko niej. Kiedy znienacka coś uderzyło ją w ramię, skuliła się jeszcze bardziej. Serce waliło jej tak głośno, że tłumiło wszystkie inne dźwięki.

Jej świat został zredukowany do przejmującego lęku... kiedy poczuła, jak para silnych rąk ujmuje ją za ramiona.

Carrie wzdrygnęła się i próbowała się uchylić.

- Misiaczk... wszystko w porządku. To ja, Ry. Jestem przy tobie.

Delikatne dłonie rozwiązały jej ręce, a potem opaskę na oczach.

W pomieszczeniu, w którym byli, panował półmrok. Carrie wszystko widziała jak przez mgłę, gdyż opaska długo uciskała jej oczy, ale wreszcie dotarło do niej, kim jest jej wybawiciel, który ostrożnie podniósł ją z ziemi i przytulił mocno do siebie.

- Ry - zawołała i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wiem, kochanie, wiem. Już po wszystkim. Ten drań już nigdy cię nie dotknie.

Przyciskając mokrą od łez twarz do jego koszuli, Carrie kątem oka zobaczyła Birkenfelda, leżącego bezwładnie przy drzwiach.

- On... on chciał mnie zastrzelić.

Ry jeszcze mocniej oplótł ją ramionami, ona zaś zaczęła dygotać w jego objęciach. Szok i przerażenie, jakiego doznała, znajdowały teraz ujście.

- Nigdy bym mu na to nie pozwolił, słonko moje
- mruknął Ry, który nie mógł opanować drżenia głosu.

- Nigdy.

Z oddali dało się słyszeć wycie syren, potem pisk opon, a wreszcie stukot butów po betonie.

Ry spojrział przez ramię i nagle wypuścił Carrie z objęć. Gdy popatrzała w tę stronę, zobaczyła, że Birkenfeld oprzytomniał i czołga się do drzwi, które wisiały na jednym tylko zawiasie.

- Nie myśl, że ci się uda uciec, ty łajdaku - rzucił przez zęby Ry, chwytając go za koszulę na plecach i stawiając na nogi.

Jak się wtedy okazało, Birkenfeld był nie tylko szalony, ale także głupi. Zamachnął się pięścią na Ryana, który tylko na to czekał. Z całej siły wymierzył mu cios w brzuch, a kiedy łotr złożył się we dwoje, posłał mu haka w szczękę. Birkenfeld ze skowytem osunął się po ścianie na podłogę... a Ryan z zapamiętaniem bił go dalej.

- Masz za to, że śmiałeś jej dotknąć, ty parszywy draniu - warknął, uderzając go pięścią w twarz. - I za to, że zadałeś jej ból. I jeszcze za to, że ją przestraszyłeś.

W tym momencie do pomieszczenia wpadł Travis, natychmiast spostrzegł Carrie, podbiegł do niej i otoczył ją ramionami. Po piętach deptali mu Alex i Darin. Z żalem musieli odciągnąć Ryana od Birkenfelda, zanim zdołaliby zrobić z niego krwawą miazgę.

- Spoko, kolego - powiedział Alex, przytrzymując Ryana za lewą rękę, podczas gdy Darin chwycił go za prawą.

- Zostaw jeszcze coś do roboty chłopakom z policji, niech go zawłoką do aresztu - odezwał się Darin.

Ry zrozumiał, że sam jest już bliski szaleństwa.

- W porządku - powiedział, uwalniając ręce, biorąc głęboki oddech i cofając się o krok do tyłu. W tej chwili w drzwiach ukazał się Vincente, komendant policji, wraz ze swymi ludźmi, wszyscy z bronią w ręku.

- Jak to miło, że zdążyliście na czas - zauważył cierpko Ryan, poprawiając kołnierzyk koszuli.

- Przyjechaliśmy, kiedy tylko dałeś nam znać, że zauważyłeś samochód tego łajdaka - powiedział Alex.

- Poza tym... - dodał z uśmiechem - chcieliśmy dać ci trochę czasu, żebyś mógł odegrać rolę bohatera.

- Niczego mi nie udowodnicie - warknął z kąta Birkenfeld, który, mocno posiniaczony, leżał wciąż na podłodze i rzucał wściekłe spojrzenia na Ryana i Darina. - Oskarżę was o napaść i pobicie. Za dwadzieścia cztery godziny będą musieli mnie zwolnić. I wtedy zobaczymy, jak się poczujecie, wy, bohaterowie od siedmiu boleści.

- Pomóc wam załadować go do samochodu? - zapytał Ryan dwóch policjantów, którzy towarzyszyli swemu szefowi w akcji.

- Chyba już dość się tutaj napracowałeś, Ry - zauważył Alex. - Pozwól, że ja teraz będę pełnił honory domu. Poza tym widzę, że jesteś tu komuś potrzebny.

Darin mocnym szarpnięciem poderwał Birkenfelda z podłogi i popchnął go w kierunku policjantów.

- Jazda - rzucił ostro. - Dla ciebie zabawa dopiero się zaczyna.

Ry żałował, że nie może jeszcze dołożyć temu łotrowi.

- Evans - odezwał się głos Wayne'a Vincente'a.

- Muszę z tobą chwilę pogadać.

- Jasne. A co chcesz wiedzieć? Vincente wyjął z kieszeni notes i długopis.

- Najlepiej zacznij od początku, a potem zobaczymy. Kiedy spostrzegł, że Trav prowadzi Carrie w stronę drzwi, powstrzymał go, mówiąc:

- Zaczekaj jeszcze, synu. Będę musiał zadać kilka pytań także twojej siostrze.

- Jutro - powiedział Ryan. - Dostyc już dziś przeszła, należy się jej spokój i odpoczynek.

- Ry ma rację - przytaknął Trav. - Zabieram ją do domu.

Komendant, widząc determinację na jego twarzy, niechętnie skinął głową.

- Zgoda - rzekł. - Wpadnę jutro rano, Carrie, jeśli ci to odpowiada.

- Tak, oczywiście - powiedziała.

Ry z ulgą spostrzegł, że się trochę uspokoiła, i nie jest już tym kłębkiem nerwów jak przed chwilą, kiedy znalazł ją skuloną na podłodze.

W godzinę potem Ry zastukał do drzwi domu Carrie, które otworzyła mu Stephanie. Wszedł do salonu i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Leżała na kanapie, otulona od stóp do głów miękkim, bładozielonym szlafrokiem. Włosy miała mokre, tak, jakby właśnie wyszła spod prysznica. Trav siedział przy niej, niczym kwoka przy kurczęciu. Nie było wątpliwości, że z zimną krwią urwałby głowę komukolwiek, kto by się odważył zdenerwować jego małą siostrzyczkę.

Tylko że Carrie nie jest już małą dziewczynką, pomyślał Ryan, lustrując wzrokiem jej kobiece kształty pod tkaniną szlafroka. Jest kobietą. Kobieta, której ciało zdążył poznać we wszystkich szczegółach. Kobieta, która przeszła dziś straszne rzeczy.

Z uczuciem ulgi zauważył, że nie trzęsą się jej już ręce, w których trzyma duży, fajansowy kubek z gorącą czekoladą.

- Jak ona się czuje? - zapytał.

- Jest twardsza niżby się mogło wydawać, gdy się na nią patrzy - odrzekła cicho Stephanie. - Była jeszcze trochę zszokowana, kiedy tu przyjechałam, ale teraz radzi sobie znacznie lepiej. Lepiej niż Trav, mówiąc szczerze - dodała z uśmiechem współczucia.

- Dzwonił do ciebie z prośbą, żebyś przyjechała?

- Tak, z komórki, w drodze do domu.

- Jesteś dobrą przyjaciółką - powiedział Ry, ściskając jej z wdzięcznością rękę.

- Nie dość dobrą, skoro pozwoliłam jej odjechać sprzed biblioteki w towarzystwie tej kreatury.

- Steph, nie mów tak. Skąd mogłaś wiedzieć. Nikt z nas nie wiedział.

- I to jest przerażające, nieprawda? Że tak często po prostu mało wiemy.

Ry musiał się z nią zgodzić.

Był zadowolony, że przyjechał do niej po pewnym czasie, kiedy sam zdążył się już trochę uspokoić, bo w żadnym wypadku nie chciał, żeby Carrie zauważyła,

jak bardzo jest zdenerwowany, i zmartwiła się jego stanem.

Wcześniej cierpliwie odpowiedział na wszystkie pytania Vincente'a i przyglądał się w ponurym milczeniu, jak Alex i Darin pomagają dwóm policjantom załadować zakutego w kajdanki Birkenfelda do policyjnego samochodu.

No i wreszcie mógł tu przyjechać i zobaczyć Carrie. Popatrzeć na kobietę, którą kocha, i upewnić się, że czuje się już lepiej.

Kobietę, którą kocha. No tak. Przecież on ją kocha. Teraz dopiero zrozumiał, że zawsze ją kochał, nic o tym nie wiedząc. Nie mógł sobie wybaczyć, że potrzebował aż tak dramatycznych okoliczności, kiedy niewiele brakowało, a by ją stracił bezpowrotnie, żeby to sobie uświadomić. Miał nadzieję, że mimo wszystko w jej sercu pozostała odrobina uczucia dla niego.

Kiedy Carrie posłyszała jego kroki na parkiecie, uniosła lekko głowę.

- Hej, misiaczku - odezwał się do niej łagodnie i przykucając przy kanapie położył dłonie na jej kolanach.

W jej dużych, jasnych oczach dostrzegł resztki lęku. Ale uśmiechnęła się do niego. Tak, był to uśmiech nieco wymuszony, jednak Ry wyczytał z niego, że Carrie odzyskuje siły. Nieraz w życiu przyszło jej upadać, ale zawsze w końcu powstawała i ruszała dalej przed siebie.

- Cześć, Rambo - odezwała się wreszcie. - Nie przypuszczałam, że taki z ciebie ostry zawodnik.

- Uważasz, że przesadziłem, dając wycisk temu łotrowi? No, może trochę mnie poniosło, ale on naprawdę zasłużył na tęgie lanie.

Carrie spojrzała na jego ręce, dotknęła palcem otartych kostek i szepnęła:

- Dziękuję ci. - Łzy zakręciły się jej w oczach. Zamiała się niepewnie i powstrzymała je, mrugając. - Przepraszam. Jeszcze trochę, a zamienię się w chodzącą fontannę.

Ry zerknął na Trava, który, w obawie że może się jej jeszcze przytrafić coś złego, najwyraźniej nie zamierzał nawet na chwilę zostawić Carrie samej.

- Chcę porozmawiać z twoją siostrą, Trav. W cztery oczy.

Już był pewien, że kocha tę kobietę. Że zależy mu na niej bardziej, niż na kimkolwiek w życiu. I nawet gdyby to się nie podobało Travowi, nawet gdyby miała na tym ucierpieć ich przyjaźń, zamierzał uczynić wszystko co w jego mocy, aby przekonać Carrie do siebie. Nie zwlekając, teraz, natychmiast.

- A jeśli nie zechcę cię zostawić z nią sam na sam?
- zapytał Travis, spoglądając na Ryana z powątpiewaniem.

Więc to tak, pomyślał Ryan i głęboko westchnął. Nie pójdzie nam tak łatwo...

Obaj wstali i mierzyli się twardym spojrzeniem.

- To, co mam do powiedzenia Carrie, dotyczy tylko nas dwojga.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co takiego chciałbyś powiedzieć mojej siostrze, czego ja nie mógłbym usłyszeć - odezwał się Travis, zerkając na Ryana z ukosa.

Ryan studiował uważnie twarz tego mężczyzny, którego uważał dotąd za swojego brata. I pomyślał, że bardzo mu będzie go brakowało.

- No dobrze - powiedział. - Nigdy nie chciałem, by tak się stało. Walczyłem z tym. Ale przegrałem. Powiem otwarcie: kocham twoją siostrę, Trav. Kocham ją. Możesz ze mną zrobić, co tylko chcesz. Uderz mnie. Ja ci nie oddam. Możesz mnie stłuc na kwaśne jabłko, jeśli uważasz, że na to zasługuję. Pewnie tak. Ale uprzedzam cię, że będę miał Carrie, z twoją aprobatą czy bez niej.

Opuścił ręce wzdłuż ciała i czekał na pierwszy cios.

- No cóż - odezwał się Trav z szerokim uśmiechem, który całkowicie zaskoczył Ryana. - Powiedziałbym, że czas najwyższy, ty wolno myślący głupku. Tyle lat czekałem, żebyś wreszcie dojrzał i uświadomił sobie, że ją kochasz.

- Coś ty powiedział? - zamrugał nieprzytomnie powiekami Ryan.

- Bierz ją - powiedział Trav, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby. - Z moim błogosławieństwem. Jest twoja. Może teraz wreszcie przestaniecie bawić się w podchody i zaczniecie żyć normalnie.

Mówiąc to, Trav wyciągnął rękę do Ryana, który po krótkim wahaniu przyjął ją. Mocno ją uścisnął, potem położył na niej drugą dłoń i jeszcze raz uścisnął.

- Jak to, to ty wiedziałeś? - zapytał z niedowierzaniem.

- No pewnie - parsknął Trav, wznosząc oczy ku niebu i spoglądając porozumiewawczo na Stephanie.

- Całe miasto wiedziało, poza wami, oczywiście.

Ry, szczęśliwy jak nigdy w życiu, uśmiechając się od ucha do ucha z radości, zwrócił się ku Carrie.

Gdy na nią spojrział, uśmiech zamarł mu na twarzy.

Ładna historia, ona jest wściekła, pomyślał. Zła jak osa.

- Carrie - odezwał się do niej zmieszany i podał jej rękę, kiedy podnosiła się z kanapy.

Ona szorstkim ruchem odtrąciła jego pomoc i syknęła:

- Będziesz mnie miał? Tak się wyraziłeś?

- Misiaczkule, kochanie, przecież ja nie...

- A ty - odwróciła się do brata, ignorując Ryana.

- Ty mu mnie dajesz? Dajesz mu mnie, a potem podajecie sobie ręce na znak ugody, jakbym była jakąś rzeczą, którą możecie sobie do woli dysponować?

Odrzuciła do tyłu włosy, ręce włożyła głęboko do kieszeni zielonego szlafroka i, unosząc wysoko brodę oznajmiła zimno:

- Obaj możecie iść do diabła. Nikt nie będzie mnie nikomu dawał. I nikt nie będzie mnie miał, chyba że

sama tego zechcę. A teraz wynoście się stąd. Obaj. Zanim wam powiem, co sądzę o waszej nieuleczalnej, seksistowskiej, męskiej mentalności i rozbiję kilka cennych wazonów na waszych zakutyh łbach.

- Hola, siostrzyczko, chyba trochę przesadzasz... - odezwał się Trav, ale Ry nie pozwolił mu dokończyć.

- Daj spokój - powiedział. - Słyszałeś, co ta dama powiedziała. Chce, żebyś stąd wyszedł.

- Chcę, żebyście obaj wyszli - przypomniała mu Carrie.

- Steph - powiedział uprzejmie Ryan - czy mogę cię prosić, żebyś pomogła Travisowi znaleźć drogę do drzwi?

Stephanie spojrzała przeproszająco na Trava i ujęła go za ramię.

- Chodźmy, Travis - poprosiła. - Myślę, że oni chcieliby zostać na chwilę sami. W każdym razie... jedno z nich by chciało.

- Do widzenia, Steph - powiedział Ryan, który odprowadził ich do holu i rzucił Travowi jego płaszczyk, mówiąc: - Spadaj stąd, Whelan. Do zobaczenia.

- Powodzenia, chłopie - zdążył powiedzieć Trav, zanim Ryan zatrzaskał za nimi drzwi, a Stephanie szepnęła, że życzy mu szczęścia.

Przez dłuższą chwilę Ryan spoglądał na zamknięte drzwi, chcąc zebrać myśli. Tak, będzie teraz potrzebował szczęścia. Dużo szczęścia.

Zawalił sprawę. I to dwa razy. Raz wczoraj rano,

kiedy nie powiedział Carrie tego, co powinna była usłyszeć... i teraz, kiedy wprawdzie wypowiedział potrzebne słowa, ale zrobił to tak, jakby chodziło o jakąś transakcję handlową, a nie o miłość. Wielką, wspaniałą, gorącą miłość, jaką do niej czuł.

Skrzywił się na myśl o tym, jak niewłaściwie postępował. Carrie czekała na pocałunki po wspólnie spędzonej nocy i na wyznanie „kocham cię.” Zasługiwała na jedno i na drugie. A on, przerażony własnymi uczuciami, potrafił tylko popatrzeć na nią lodowato i powiedzieć: „Musimy się pobrać”. A teraz - teraz też zachował się jak ostatni kretyn.

Zamknął drzwi na zasuwę, oparł się o nie i zaczął się przygotowywać na trudną rozmowę.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zostałam porwana, założono mi opaskę na oczy i skrepowano ręce. Byłam zakładniczką, źle traktowaną, i nie miałam wątpliwości, że wkrótce umrę - powiedziała z goryczą Carrie, spoglądając przymrużonymi oczami na mężczyznę, który wpatrywał się w nią w milczeniu. - I w ogóle miałam paskudny, długi dzień - dodała, czując, jak wzbiera w niej gniew. - I jestem bardzo zmęczona. I w złym humorze. Kto wie, może mogę być nawet niebezpieczna. Więc na twoim miejscu zwinęłabym żagle i wyniosła się stąd razem z tymi twoimi przedziwnymi poglądami spod znaku męskich hormonów.

Ry zaciął usta, popatrzył na nią i potrząsnął głową,

- Nic z tego, misiaczku. Nigdzie nie pójdę. Najpierw musimy porozmawiać.

- Według mnie, to już dość dużo mi powiedziałeś.

- Za dużo mówiłem, a za mało pytałem i prosiłem - zgodził się z nią Ryan. - Więc teraz pytam cię, misiaczku: wyjdiesz za mnie?

Wbrew jej woli, serce zabiło jej tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi, przypominając, jak bardzo kocha tego mężczyznę.

Ale teraz nie chciała go kochać. Chciała być na niego wściekła. Potrzebowała być wściekła na niego i na tę jego czelność, za której sprawą wyobrażał sobie, że może ot tak, wrócić beztrąsko w jej życie, powiedzieć, że ją kocha i wyciągnąć z tego wszystkiego wnioski, że ma prawo ją mieć.

Poza tym rozkoszowała się tym, że nie czuje już lęku. Tak, pragnęła być wściekła i popłynąć jeszcze kawałek na fali wściekłości. Niech teraz on trochę pocierpi. Niech on przeżyje chwile niepewności.

- Nie jestem pewna, czy chcę za ciebie wyjść - oznajmiła, krzyżując ręce na piersi i dumnie unosząc głowę. - Nawet jeśli się okaże, że jestem w ciąży. Już ci mówiłam. Nie jesteś do niczego zobowiązany.

Ryan pokręcił głową i postąpił kilka kroków w jej stronę.

- Posłuchaj, Carrie. Jestem zobowiązany powiedzieć ci, co do ciebie czuję. Że kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić słowami. Że jesteś dla mnie wszystkim, jesteś treścią mego życia. Pragnę cię i tęsknię za tobą. I że z całego serca chcę teraz naprawić te wszystkie błędy, które popełniłem.

O mój Boże. To nie fair. Czy można być wściekłą, słysząc takie przepojone miłością słowa?

Ry tymczasem podszedł do niej, objął ją za ramiona i powoli przyciągnął do siebie.

- Jestem zobowiązany powiedzieć ci, że zawsze cię kochałem, ale po prostu nie wiedziałem, co z tym fan-

tem począc, jak walczyć z tymi uczuciami, które uważałem za niestosowne i które próbowałem ukryć nawet przed samym sobą.

W oczach Carrie zakręciły się łzy, a jej serce nabrzmiało miłością.

- Niestosowne? Jak miłość może być niestosowna?

- Nie może być. Ale takie zakute łby jak ja tego nie wiedzą - uśmiechnął się do niej rozbrajająco, a ona poczuła, że zaczyna mięknąć.

- Misiaczkule, wiem, że od dawna się we mnie podkochiwałaś. Ale myślałem, że to po prostu takie dziewczęce zadurzenie w silnym, starszym chłopaku i że ci to w końcu przejdzie. Że wyjedziesz kiedyś z tego miasta i znajdziesz sobie faceta, którego naprawdę pokochasz. Że z nim będziesz szczęśliwa.

- Ależ z ciebie osioł, Ry. Chcę tylko ciebie. Zawsze chciałam tylko ciebie.

Ryan przymknął oczy i odetchnął głęboko, z ulgą.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest, Carrie, i - mówiąc to klęknął na jedno kolano. - Tym razem zrobię to tak, jak należy.

Ujął jej dłonie w swoje i przycisnął do nich usta.

- Kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Czy uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi i wyświadczysz mi ten zaszczyt, że zgodzisz się zostać moją żoną? Zechcesz być ze mną na zawsze? W zdrowiu i w chorobie, na dobre i na...

Przerwał mu śmiech uszczęśliwionej Carrie:

- Hej... zostaw coś może na samą uroczystość. Gdy Ryan podniósł na nią wzrok, mogłaby przysiąc, że w jego pięknych, brązowych oczach załśniły łzy.

- Więc się zgadzasz?

- Tak, oczywiście, pragnę tego z całego serca. Zostanę twoją żoną, Ryanie.

Ry puścił jej dłonie, mocno ją objął i przytulił głowę do jej piersi.

- Nigdy nie będziesz tego żałowała - obiecał jej. - Tak bardzo cię kocham.

- Pamiętaj, że nie pozwolę ci się wycofać...

- Nie ma mowy. Musimy to teraz przypieczętować czymś więcej niż tylko pocałunkiem - powiedział Ryan.

Delikatnie zdjął z niej szlafrok, pod którym była zupełnie naga.

- Jaka ty jesteś piękna - westchnął.

Carrie zrobiła mu miejsce na kanapie koło siebie i wyciągnęła do niego rękę.

- Kochaj mnie, mój najmilszy. Spraw, żebym zapomniała o tym, co się dzisiaj działo. Nie chcę już więcej o tym myśleć. Chcę myśleć tylko o nas...

Ryan wiedział, że zrobi wszystko, aby przy nim mogła wymazać z pamięci te straszne chwile, kiedy była o krok od śmierci. Pragnął, by myślała tylko o nim, o nich obojgu i o życiu, jakie razem stworzą.

Po chwili cały świat jakby się rozplątał i została tylko ona. Jej jedwabista skóra, jej zapach, ciepło jej

ciała, które witało go tak, jak poranek wita słońce. Zbliżyli się do siebie tak bardzo, jak tylko mogą zbliżyć się mężczyzna i kobieta, zespolili się sercem, duchem i ciałem i stali się jednym w tym cudownym, najpiękniejszym akcie miłości, zarazem czulej i namiętnej.

Gdy leżeli potem obok siebie, zmęczeni, lecz szczęśliwi, ciszę przerwał dzwonek telefonu.

- Odbierz - powiedziała Carrie, gdy Ry ze zdziwieniem uniósł brew.

- Słucham.

- Ry? - zapytał Trav.

- Tak, co się stało?

- Jak się ma Carrie?

- Dobrze - odparł, popatrując na nią z uśmiechem.

- Nawet powiedziałbym, że bardzo dobrze. A tak przy okazji, co ty i Natalie powiedzielibyście na podwójny ślub?

Kiedy Trav nie odpowiadał, Ry poczuł, jak ze zdenerwowania jeży mu się włos na głowie. Usiadł gwałtownie i zapytał:

- O co chodzi? Mów, co się stało?

- Uciekł Birkenfeld - powiedział Trav z ciężkim westchnieniem.

Roman Birkenfeld siedział skulony w szoferce ciężarówki i udawał, że śpi. W ten sposób nie musiał odpowiadać na nieustanny potok pytań, jakie mu zadawał

brzuchaty, nie wypuszczający z ust papierosa kierowca, który przed godziną zgodził się go podwieźć. Poza tym w ten sposób oszczędzał sobie bólu.

Ten drań Evans zrobił mu z wargi krwawą miazgę. I jeszcze mu dołożyli ci dwaj - jakiś Alex i ten drugi, z kozią bródką, chyba Darin - kiedy go wpychali siłą do wozu policyjnego. W ten sposób i oni wydali na siebie wyrok. Wszyscy padną trupem, zanim on skończy to, co sobie zaplanował. A do końca było jeszcze daleko.

Ale z nich idioci! Myśleli, że mogą go aresztować, a potem kazać jakiemuś świeżo upieczonemu gliniarzowi eskortować go z miasta do więzienia okręgowego? Doprawdy, sam nie mógł uwierzyć, że tak łatwo mu przyszło wykiwać tego żółtodzioba. Miło było wspomnieć zdumienie i szok w oczach tego smarkacza, kiedy spostrzegł, że jego kabura jest pusta.

- Tak jest, panie władzo - szydził z tylnego siedzenia wozu policyjnego, przykładając smarkaczowi lufę tuż pod lewym uchem. - To jest twój rewolwer, synu. I jeśli chcesz pożyć dość długo, żeby na tej dziecinnej buźce wyhodować męski zarost, to skręcisz teraz grzecznie w tę uliczkę zdejmiesz mi kajdanki.

Odwiódł kurek i jeszcze mocniej przycisnął lufę do czaszki młokosa.

- I nie zgrywaj bohatera. Nie chciałbym zabić gliniarza, ale przysięgam ci, że to zrobię, jeśli będziesz mi tu podskakiwał. A teraz skręcaj, no, już.

Wszystko to działo się trzy godziny temu. Birkenfeld uśmiechnął się do siebie samego, ale zaraz skrzywił się z bólu i przypomniał sobie lanie, jakie dostał od Evansa i jego kumpli. Pocieszał się jednak tym, że jego konwojent właśnie odebrał swoją pierwszą wypłatę. To się nazywa mieć szczęście w nieszczęściu. Kiedy policjant zaparkował radiowóz w bocznej alejce, Birkenfeld założył mu kajdanki i dał po głowie dość mocno, żeby siedział cicho przez kilka godzin, po czym ruszył pieszo w kierunku autostrady.

Teraz od Las Vegas dzieliło go już wiele godzin jazdy. Wprawdzie nie udało mu się odzyskać swoich pieniędzy - przynajmniej na razie - ale doszedł do wniosku, że poradzi sobie inaczej. Wystarczy jeden dobry wieczór w kasynie i zgarnie dość kasy, żeby spłacić lichwiarzy i zainwestować w taki sam interes, jak poprzednio. Czarny rynek dzieci to najlepszy interes pod słońcem.

Tak, jeden dobry wieczór. Tyle tylko mu potrzeba. I kiedy już pozbędzie się długów, zajmie się tym, czego nie zdążył dokończyć w Teksasie. Każe im zapłacić za to, co mu zrobili. Zapłacą mu wszyscy, poczynając od Natalie Perez, a kończąc na tych nadętych rycerzykach z bożej łaski, którzy bronili mu dostępu do jego kasy.

Zagłębił się jeszcze wygodniej w fotelu i przez krótką chwilę myślał o Marci. Jeśli nie jest zupełną idiotką, zrobi to, co jej kazał, i pomaszeruje w stronę

dal. Birkenfeld już jej nie potrzebował, ale ponieważ dostarczała mu rozrywki w łóżku, postanowił na razie jej nie zabijać. Miał tylko nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy, żeby go wydać. Nie chciałby być w jej skórze, gdyby to zrobiła...

- Jak się miewa ten biedny policjant? - zapytał Trav następnego dnia, kiedy spotkał się w klubie z Travem, Alexem, Davidem, Darinem i Clintem.

- Ma tylko lekkie wstrząśnienie mózgu - odrzekł marszcząc brwi Alex. - Wyjdzie z tego.

- Wciąż nie rozumiem - odezwał się Darin - jak oni mogli powierzyć takie zadanie nowicjuszowi i puścić go samego z Birkenfeldem?

- Tłumaczą się cięciami w budzecie - wyjaśnił Alex. - Nasza komenda ma za mało personelu, a partner Smitha zadzwonił rano, że ma grypę żołądkową i nie może się stawić w pracy.

- Cholerny pech - zauważył David Sorensen.

- I cholerny fart dla Birkenfelda - mruknął z odrazą Clint Andover. - Ale co teraz?

- Teraz ktoś powinien chyba pogadać z pielęgniarką Birkenfelda. Jeśli tylko ją odnajdą. Ona musi coś wiedzieć - powiedział Ry. - Może więcej niż Jason Carter.

- Ach, to ten osiłek, którego złapaliśmy, kiedy włamywał się do klubu - przypomniał sobie Alex. - Zdaje się, że śpiewał jak z nut.

- Tak - potwierdził Ry. - Powiedział Vincente'owi, że jego zdaniem Birkenfeld miał zamiar pojechać do Las Vegas. Okazuje się, że popadł w niesamowite długi i był winien olbrzymią forszę lichwiarzom z Atlantic City, którzy mocno go przyduszali, żeby im zwrócił pieniądze. Zdaniem Cartera, Birkenfeld namotał ten handel dziećmi właśnie po to, żeby spłacić długi.

- A ja przez niego omal nie straciłem Natalie i dziecka. I Carrie - powiedział Trav, który poblądł na myśl o tym, jakie groziło im niebezpieczeństwo. I to zagrożenie znowu stało się teraz realne. - Musimy go dopaść - oświadczył twardo. - Nie mamy innego wyboru.

Gdy Ryan stanął w drzwiach sypialni Carrie, ujrzał ją wyciągniętą na łóżku, całą w czarnych koronkach. Skąpych i przeźroczystych. Ten strój uzupełniały tylko jej wspaniałe, lśniące, płomiennorude włosy, opadające na poduszkę. Szybko się nauczyła, jak go doprowadzać do szaleństwa.

- Carrie, nie mogłem się doczekać tej chwili - powiedział, rozpinając guziki koszuli. - Szaleję za tobą. Nie chcę być bez ciebie ani chwili dłużej. Po prostu nie mogę.

- Mam nadzieję, że tak będzie zawsze - mruknęła Carrie, popatrując na niego zalotnie spod długich rzęs i wyciągając do niego ręce.

- Zgoda, pod warunkiem że zawsze będziesz nosiła

tylko czarne koronki - uśmiechnął się do niej Ryan. - Ale nawet bez nich będę cię kochał - dodał. Bez nich nawet jeszcze bardziej...

- Może porozmawiamy o tym później - zaproponowała Carrie. - O wiele później. Na przykład, jutro rano, co ty na to?

- Dobrze, misiaczku. Jak zawsze, masz rację. Teraz zajmiemy się pilniejszymi sprawami - szepnął, zbliżając się do niej i mocno obejmując.

- Myślisz, że uda się wam go odnaleźć? - zapytała Carrie, gdy, szczęśliwi i ukojeni, wypoczywali obok siebie.

- Znajdziemy go. Teraz zajmą się tą sprawą głównie Alex i Darin, ale my wszyscy też będziemy włączeni.

- Wiesz co - odezwała się po dłuższej chwili Carrie - wydaje mi się, że Alex i Stephanie byłiby świetną parą, nie sądzisz?

- Może i tak, ale my nie mamy tu nic do powiedzenia, to ich sprawa, kochanie.

- Tak, wiem, tylko że Steph jest taką wyjątkową, wspaniałą kobietą, a Alexowi też nic nie brakuje, zawsze mi się podobał, jest taki męski...

- Sza, misiaczku. Nie zapominaj, że teraz tylko ja mogę ci się podobać - zaśmiał się Ry.

- Oczywiście, że on nie dorasta tobie do pięt oznajmiła pospiesznie Carrie. - Tak tylko sobie powiedziałam... Z myślą o Stephanie, oczywiście.

- No, dobrze, postaram się o tym zapomnieć - powiedział Ryan i przypieczętował swoje słowa namiętym pocałunkiem.

Po dłuższej chwili Carrie uniosła się na łokciu i spoglądając mu w oczy zapytała:

- Ry, czy chciałbyś mieć dzieci?

Ryan milczał przez moment, pocierając dłonią brodę.

- Kochanie - odezwał się wreszcie, odgarniając jej z czoła włosy. - Jeszcze kilka dni temu nie wiedziałem nawet, że chcę się żenić. Ale tak, oczywiście. Cudnie byłoby mieć takiego maleńkiego rudzielca... tak, marzę o tym, żeby mieć z tobą dziecko.

Carrie nachyliła się i pocałowała go w usta.

- Wobec tego powinniśmy niedługo się tym zająć, jeśli chcemy, żeby nasz szkrab był mniej więcej w wieku swojej kuzyneczki...

- Jakiej znowu kuzyneczki?

- No, dziecka Natalie i Trava.

- Masz na myśli Autumn?

- Mam na myśli dziecko, które Natalie urodzi we wrześniu, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Zaskoczony Ry zamrugał oczami i spojrzał na Carrie.

- Natalie jest w ciąży?

- Tak. Czy to nie wspaniała wiadomość?

- Cóż, twój braciszek jest człowiekiem czynu...

- Mam wrażenie, że nie tylko on - zaśmiała się Carrie. - Czy nie chciałbyś znów tego dowieść?

- Ładna historia - zachichotał Ryan. - Widzę, że sprawy seksu wzięłaś sobie mocno do serca.

- Muszę jakoś nadrobić stracony czas - oznajmiła z udaną powagą Carrie, gładząc go po policzku.

Ryan przyciągnął ją do siebie i, patrząc jej głęboko w oczy, wyznał:

- Jak ja mogłem być takim idiotą przez tyle lat, Carrie... Kocham cię. Bardzo.

- Wiem, najmilszy. I nic się nie martw. Nigdy nie pozwolę ci o tym zapomnieć.

RS